GENA 60 GROSZY.

PODRÓŻE — NAUKA — PRZYGODY

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

MÓJ PRZYJACIEL

WARSZAWA LISTOPAD 1928

ROK V

№ 11



KOMUNIKAT.

Z cyklu „Życie i twórczość pisarzy polskich“ ukażą się wkrótce monografje:

I.

Mikołaj Rej, życie i twórczość

w opracowaniu D-ra E. Koreckiego.

Monografja ta ułatwi zarówno uczniom jak i szerszym rzeszom czytelników zapoznanie się z życiem i dziełami „ojca literatury polskiej“. Autor przedstawia krótko lecz dokładnie obraz życia pisarza, streszcza i omawia każdy jego utwór, podając następnie syntezę całokształtu twórczości Reja. Jasne i zwięzłe przedstawienie przedmiotu czyni z tego dziełka lekturę dostępną także dla tych, którzy studjują literaturę polską bez pomocy nauczyciela. Pojawienie się tej monografji usunie, zgodnie z intencją jej autora, dotychczasowy brak „przewodnika po spuściźnie duchowej Reja“.

II.

Juljusz Słowacki, życie i twórczość

w opracowaniu D-ra E. Kore kiego.

Monografja ułożona przejrzyście w ten sposób, że po przedstawieniu pewnego okresu życia poety, podana jest treść i przeprowadzona analiza poszczególnych utworów powstałych w danym okresie (ze szczególnem uwzględnieniem utworów objętych programem szkolnym) poczem następuje syntetyczne ujęcie artystycznego dorobku poety w tym okresie. Utwory poety zestawione są z odpowiedniemi dziełami literatury powszechnej; podana jest bibljografja dla orjentacji w literaturze krytycznej przedmiotu. Przejrzystość układu i wykład jasny, pozwolą monografji tej przysłużyć się zarówno uczniowi przy syntetycznem ujmowaniu materjału szkolnego, a szczególnie przy opracowywaniu lektury uzupełniającej, jakoteż samoukowi, któremu ułatwi ona samodzielną lekturę dzieł poety.



Rok V. Warszawa, Listopad 1928 Nr. 11.

DLACZEGO CAŁY ŚWIAT OBCHODZI „DZIEŃ OSZCZĘDNOŚCI“.

W związku ze zbliżającym się „Dniem Oszczędności“, którego obchód przypada na 31 października, otrzymaliśmy artykuł p. B. Mrozowskiego, dyrektora działu oszczędnościowego Polskiej Kasy Oszczędności, który poniżej zamieszczamy.

Dzień 31 października od lat czterech poświęcony jest w całym cywilizowanym świecie oszczędności.

W odróżnieniu od innych uroczystości, obchód tego dnia, zwanego „Dniem Oszczędności“, polega nie na wstrzymaniu się od pracy, lecz na przypomnieniu wszystkim o potrzebie oszczędzania.

Dzień oszczędności został ustanowiony przez Pierwszy Międzynarodowy Kongres, czyli zjazd przedstawicieli instytucyj oszczędnościowych, odbyty w r. 1924 w Medjolanie we Włoszech.

Uchwała Kongresu, ustanawiająca Dzień Oszczędności, miała na celu tak upamiętnienie samego Kongresu, jak podkreślenie znaczenia oszczędności dla wszystkich narodów świata, i zwrócenie na nią jak największej uwagi.

Powstaje pytanie, czemże jest ta oszczędność, skoro dla niej zwołuje się Kongresy Międzynarodowe i ustanawia dzień, specjalnie jej poświęcony?

Odpowiedź jest krótka: oszczędność jest podstawą dobrobytu każdego człowieka i każdego państwa.

Wszystkim znane jest przysłowie: „Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą“.

Sama praca do zdobycia mienia nie wystarcza.

Kto wydał d z i ś wszystko, co dziś zarobił, temu na j u t r o nie zostało nic prócz kłopotu, skąd wziąć środki na nowe potrzeby.

Jeżeli jest zdrów i ma zajęcie, to jeszcze pół biedy; ale w razie choroby lub utraty zarobku staje odrazu wobec widma głodu i nędzy.

Ażeby od takiej niedoli się uchronić, należy z tego co się zarabia d z i ś, odkładać — choćby nie wiele — *na przyszłość*, czyli o s z c z ę d z a ć.

Grosze składane do groszy zamieniają się na złote, ze złotych tworzą się setki i tysiące.

Kto więc oszczędza choć po trosze, ale stale, ten uwalnia się od kłopotów, bo oszczędzony kapitał zapewnia mu *dobrobyt*.

Oszczędność zatem jest dla każdego pojedyńczego człowieka sprawą bardzo ważną, bo stanowi dlań ochronę od nędzy i zabezpieczenie spokojnego, dostatecznego życia.

Nie mniej ważną jest oszczędność i dla całego narodu, dla *Państwa*.

Jeżeli obywatele są ubodzy, to i Państwo nie może być bogate, gdyż swoje środki czerpie przecież od nich, a obywatele ubodzy nie będą w stanie dać Państwu tego, czego sami nie posiadają.

Następnie do zaspokojenia potrzeb ludzkich konieczne są odpowiednie urządzenia: fabryki i zakłady przemysłowe, w których wytwarza się wszystko, co człowiekowi potrzebne; koleje i inne środki komunikacyjne do przenoszenia się z miejsca na miejsce i t. d. i t. d.

Zbudowanie ich i prowadzenie także wymaga nakładu pieniędzy.

Jeżeli w kraju nikt nie oszczędza, to pieniędzy brak i trzeba o nie zwracać się do narodów zamożniejszych, oszczędnych, które dzięki przezorności swych obywateli rozporządzają zasobami pieniężnemi. Inaczej mówiąc, trzeba zaciągać pożyczkę zagraniczną.

Za taką pożyczkę jednak płaci się procenty, a więc dochód z przedsiębiorstw i urządzeń, na które pożyczki użyto, zamiast pozostawać w kraju, idzie zagranicę.

Jeżeli natomiast obywatele Państwa są oszczędni, to kosztowna pomoc zagranicy jest zbyteczna, bo w kraju znajdują się pieniądze i nie potrzeba ich szukać u obcych.

Jak z pojedyńczych groszy człowiek oszczędny składa sobie złote, ich dziesiątki i setki, tak z tych dziesiątków i setek złotych pojedyńczych ludzi tworzą się setki i tysiące miljonów złotych. Ażeby jednak to się stało, trzeba zamiast przechowywać pieniądze w domu—składać je w specjalnych instytucjach: kasach oszczędności.

Te przyjmując drobne sumy od pojedyńczych wkładców, gromadzą je w wielkie kapitały i puszczają w obrót, wypożyczając przemysłowcom na rozszerzenie fabryk i zwiększenie produkcji; rolnikom na ulepszenia w gospodarstwie, pomnażające plon; państwu oraz samorządom, t. j. miastom, powiatom i gminom, na budowę kolei, dróg, wodociągów, szkół, szpitali itp. urządzeń, bez których obejść się niepodobna.

W ten sposób drobne oszczędności, które oddzielnie wzięte znaczą niewiele, przyczyniają się do rozwoju przemysłu, rolnictwa, handlu oraz ułatwiają Państwu i samorządom wykonywanie ich zadań.

Obok tej korzyści publicznej, kasy oszczędności przynoszą duże korzyści i tym, którzy w nich składają swe pieniądze, gdyż same biorąc wynagrodzenie, czyli odsetki za wypożyczanie pieniędzy, płacą również odsetki swoim wkładcom.

Każdy więc, kto składa pieniądze w kasie oszczędności, nietylko pozostaje ich właścicielem i może każdej chwili wycofać je z kasy, lecz ponadto uzyskuje prawo do odsetek tem większych, im dłużej jego pieniądze leżą w kasie.

Jeżeli kasa płaci np. 6% od każdych 100 zł. na rok, to po roku wkładca otrzyma z kasy nie 100 a 106 zł., a po 10 latach już nie 160, lecz prawie 182 złote.

Według bowiem tak zwanego rachunku odsetek złożonych kasa oblicza procent nie tylko od wpłaconego jej kapitału, lecz również od przypadających za czas ubiegły odsetek, wskutek czego kapitał, raz złożony w kasie, rośnie nadal sam, choćby jego właściciel wcale się o niego więcej nie troszczył.

To samo prawo odsetek złożonych stosuje się do każdej, chociażby najdrobniejszej sumy.

Jeżeli np. ktoś zechce odkładać po 5 gr. dziennie, to po latach 5 stanie się posiadaczem 136 zł. 65 gr., a po 10 — 288 zł. 60 gr.

Z tych przykładów wynika, że każdy może sobie łatwo uskładać pewną sumę pieniędzy, jeżeli tylko szczerze bę-

dzie tego chciał, bo u każdego dorosłego czy dziecka o tak drobną kwotę łatwo.

Potrzeba tylko świadomości, że lepiej tę drobną sumkę oszczędzić, aniżeli wydać ją na jakie głupstwo, bez którego można się obejść.

W jaki sposób oszczędzać takie drobne sumy?

Jeżeli chodzi o uczniów szkół publicznych, to wystarczy, aby zwrócili się do nauczyciela lub wychowawcy, a ci wskażą im, co trzeba zrobić, gdyż istnieją t. zw. szkolne kasy oszczędności, które mają za zadanie zbieranie drobnych oszczędności od uczniów.

Jeżeli w szkole takiej kasy niema, to należy zaopatrzyć się w skarbonkę, do której wrzuca się monety i pieniądze papierowe.

Zawartość opróżnionej co pewien czas skarbonki każda kasa oszczędności przyjmie i zapisze na książeczkę, a przy sumiennem korzystaniu ze skarbonki po kilku latach uzbiera się ładna suma.

Przytoczone przykłady korzyści, jakie oszczędność daje jednostce, wystarczą, aby ocenić jej znacz nie.

Wyobraźmy sobie teraz, że cała ludność Polski odkłada codzień drobną sumę 5 groszy. Po latach 5 utworzyłoby to sumę przeszło 4 miljardów, a po 10—zgórą $8^1/_2$ miljarda złotych własnych nie pożyczonych kapitałów, dzięki którym kraj zbogaciłby się i doszedł do rozkwitu we wszystkich dziedzinach.

Więc przez oszczędność nie tylko ludzie, lecz i narody się bogacą, i dlatego to cały świat interesuje się nią i otacza ją opieką, aby mogła się rozwijać i prowadzić świat cały do lepszej przyszłości.

Polska więcej, aniżeli każdy inny naród, powinna uprawiać oszczędność, bo prawie najmniej ze wszystkich narodów posiada oszczędzonych pieniędzy.

Wyprzedzają ją nie tylko państwa wielkie, jak Stany Zjednoczone, Anglja, Francja i Niemcy, lecz nawet o połowę mniejszy bratni nam naród czeski przewyższa nas pod tym względem kilkakrotnie.

Gdy bowiem wszystkie oszczędności w Polsce wynosiły w końcu 1927 r. zaledwie nieco wyżej 820 miljonów złotych, czyli 92 miljony 400 tysięcy dolarów, to czeskie kasy oszczędności miały w tym samym czasie 15 miljardów 400 miljonów koron, co równa się 457 miljonom dolarów.

Musimy więc dorównać innym narodom w dziedzinie oszczędności, bo inaczej pozostaniemy w tyle i pod innymi względami.

Aby to się stać mogło, musimy oszczędzać wszyscy, duży czy mały, grosze czy złote, a gdy nasze kasy oszczędności zapełnią się pieniędzmi, śmiało będziemy mogli patrzeć w przyszłość, mając silne oparcie moralne.

Bolesław Mrozowski.

„Zarówno w życiu prywa nem jak i państwowem najpewniejszem źródłem dobrobytu jest oszczędność"

CYCERO.

* * *

Qui à vingt ne sait, à trente ne peut, à quarante n'a — jamais ne saura, ne pourra, n'aura.

Kto mając lat dwadzieścia nie umie, — mając trzydzieści nie może, mając czterdzieści nie ma, — ten nigdy nie będzie ani umiał, ani mógł, ani miał.

PRZYSŁOWIE FRANCUSKIE.

11 LISTOPADA.

11 listopada... Jedna z dat, które po wieczne czasy pozostają w pamięci narodu, których zapomnienie oznacza upadek ducha i niepodległości. Dziesięć lat upływa od tej chwili, gdy pod naporem potężnej i wytrwałej akcji mocarstw sprzymierzonych, po ciężkich latach krwawej pożogi wojennej, zatrząsł się w posadach kolos państw centralnych, runął i spłonął, aby z popiołów swoich niby mistycznego feniksa odrodzić Niepodległą Polskę. Dziesięć lat upływa od tej chwili gdy stał się ów cud, na który z upragnieniem czekały pokolenia, za który walczyli najlepsi synowie ojczyzny, zraszając krwią serdeczną łany swej ziemi ukochanej i znaczyli swemi trupami drogę do ponurych tajg syberyjskich. I teraz w pamięci stają jak żywe słowa żelaznego kanclerza, zwrócone w roku 1867 do posłów polskich: „Porzućcie mrzonkę o wolności, dla której trzy mocarstwa musiałyby wprzód wylecieć w powietrze". I tak, jak to przepowiedział Bismark, Nemezis dziejowa odwróciła kartę historji i wpisała na niej jeszcze jedno wielkie słowo: Polska!

To też znaczenie epokowe dnia, które święcimy dzisiaj, może być należycie ocenione z perspektywy tego dziesięciolecia. Dzisiaj, gdy praca państwowo-twórcza wre żywem tempem na wszystkich polach życia społecznego i ekonomicznego, zdać sobie możemy sprawę z tego, jak wielkich trzeba było wysiłków, jakiego potężnego trzeba było odruchu, spokoju i żelaznej woli, aby osiągnąć to znaczenie polityczne, jakie obecnie w świecie państw posiadamy.

Kataklizm dziejowy wstrząsnął nerwy Europy. Gorączka i żądza krwi rozpaliły umysły. Nieprzeliczone trupy zaścielają pola bitew. Verdun, Flandrja, Szampanja... Wreszcie Marna. Koniec. Przysłowiowa karność żołnierza niemieckiego rozprzęgła się w obliczu niebywałej w dziejach klęski wojennej. I oto pewnego poranka, niby skrzydlate ptaki w powietrzu, zawisły nad domami polskie chorągwie, głosząc orbi et urbi wyzwolenie.

Pierwsza do życia wzbudziła się Kongresówka, oddziały polskiej organizacji wojskowej rozbrajają na ulicach Niemców. Jedne po drugich przechodzą w ręce polskie budynki i urzędy państwowe. Broni się jeszcze „twierdza Grenady": Niemcy nie chcą uwolnić Dworca Głównego, oddać kolei w ręce polskie, odciąć sobie drogi do swej rozbitej ojczyzny. Lecz i ta przeszkoda zostaje zwyciężona, a 10 listopada wszystko już znajduje się w rękach peowiaków. Cała akcja odbywa się w spokoju, w powadze godnej wagi Wielkiego dnia, pod dalekowidzącem okiem Józefa Piłsudskiego, który jeden być może był z tych nielicznych, co swym genjalnym wzrokiem potrafią przedrzeć nieprzeniknione mroki przyszłości. On jeden, niby Don Kichot, walczy z wiatrakami o trzech skrzydłach, niby fantasta—marzyciel stara się rozbić to, czego

zdawałoby się nic ziścić nie może. Zalążek siły zbrojnej państwa, legjony, zaczynają rozwijać się, mężnieć rozrastać, klecąc jeszcze jedne skrzypce dla orkiestry europejskiej.

Surogat władzy narodowej, ufundowany łaskawie przez okupantów: Rada Regencyjna, składa władzę w ręce Naczelnika. Rozpoczyna się nowy okres tworzenia. Z pomroki dziejów, z ciemnej otchłani smutnej przeszłości przebijają stare hasła naprawy Rzeczypospolitej: skarb i wojsko! Hasła, nad któremi pracowali, o które walczyli najlepsi od króla Stefana Batorego do najszlachetniejszych posłów Wielkiego Sejmu.

Polska, która w ciągu wieków nie mogła się zdobyć na utworzenie siły zbrojnej w celu obrony swych rozległych granic, zdobyła się jednak w chwilach krytycznych, w chwilach rozpoczynających Jej byt niepodległy na wielką, bitną armję, która krwią przelaną zakreśliła obecne granice Rzeczypospolitej.

Zajęto Wilno, Lwów Galicję Wschodnią. Piłsudski dokonał cudu. Zakończenie wojny światowej, deklaracja Wilsona, ogłoszona jeszcze w czerwcu 1918 roku, warunki pokojowe nakazujące Niemcom opuszczenie okupowanych terenów brzmiały niewyraźnie ogólnikowo, nie wskazywały terminu. To jest fakt, o którym zapominać nie można. Sytuacja powojenna zaczyna również zmieniać oblicze zwycięskiej koalicji, osłabiać jej spoistość i front wobec zwyciężonych. Niemcy powoli zaczynają odzyskiwać utraconą przez wojnę pozycję polityczną.

Teraz po upływie tych lat dziesięciu musimy dojść do wniosku, że tak, jak pokój światowy wbrew powszechnym oczekiwaniom, wbrew paktom Locarna czy Kelloga, nie uspokoił jeczcze burzliwego kotła Europy, tak bez własnego czynu polskiego, bez 11-go listopada, okupacja niemiecka trwałaby niewiadomo pokąd i być może dużo jeszcze upłynęłoby czasu na zegarze historji, pókibyśmy osiągnęli marzenia naszych przodków. Przecież postępująca coraz dalej demobilizacja koalicji osłabiała naszą sytuację, wpływała na stopniowe konsolidowanie się Niemiec, a tem samem, gdyby nie ten spontaniczny wysiłek, Polska zjednoczona nikłaby nam w oczach, zmieniłaby się w uroczy sen, w marzenie, w niedościgły ideał przyszłości.

To jest główne, pierwotne znaczenie święta, które dziś cała Polska obchodzi, z którego wypływają wszystkie widoki otwierającego się przed nami wielkiego, wiecznego istnienia. Dziesięć lat heroicznych wysiłków mija od tej chwili pamiętnej. Dziesięć lat niezmordowanej, wytrwałej pracy, pracy przy której spocząć nam nie wolno, której ani na chwilę zaprzestać nie należy. Każda chwila bezczynności —to krok wstecz, krok ku zgubie.

Na niedawnych gruzach zniszczonych fabryk, zgliszczach wspaniałych katedr i uniwersytetów powstają w całej Europie nowe warsztaty pracy, nowe kuźnice twórczej myśli ludzkiej. Pamiętajmy, że tylko pracą sumienną, tylko życiem oszczędnem możemy podążyć za tempem życia naszych sąsiadów, że tylko ofiarnością każdego z obywateli możemy ukuć naszą przyszłość, zapewnić sobie wolność wśród wolnych i równość wśród równych.

B. Petersilie.

WACŁAW GÓRALSKI.

Expres „Błyskawica".

OPOWIEŚĆ FANTASTYCZNA. *)

Była piękna noc księżycowa. Giewont zalany blaskiem światła wywierał na mnie mistyczny urok. Przyglądając się cudnemu krajobrazowi nie przestawałem jednak zastanawiać się nad swem zadaniem. Zacząłem systematyzować w swej pamięci wszelkie wiadomości, jakie udało mi się zebrać o profesorze Fiołogłowskim. Jest to mąż znakomity. Wybudował potężną stację nadawczą o sile 1000 kilowatów. Miał pomimo to moc przeciwników, którzy zgóry starali się dowieść, że zbyt silne lampy radjowe nie odpowiadają celowi, i że całe przedsięwzięcie śmiałego uczonego zakończy się kompletnem fiaskiem.

Wszystkich jednak przeciwników, starających się skompromitować eksperymenty Fiołogłowskiego, profesor położył na obie łopatki dzięki zbudowaniu niebotycznej stacji, zaopatrzonej w lampy swego systemu. Stacja ta pracowała wyśmienicie i była nietylko słyszana we wszystkich punktach naszej planety, ale dawała jeszcze jakby echo. Był to mianowicie odgłos fal radjowych, które w ciągu drobnego ułamka sekundy okrążały naszą planetę i powracały do punktu wyjścia, co stwarzało piękne i artystyczne echo.

Ostatnio profesor Fiołogłowski zajęty był nowym wynalazkiem, umożliwiającym przesyłanie ruchomych obrazów na odległość. Ale ostrożny uczony strzegł zazdrośnie swych tajemnic przed całym światem, postanowiwszy zapoznać ogół ze swym wynalazkiem, kiedy już będzie całkowicie pewny swej sprawy. Przedewszystkiem zaś obiecał redaktorowi „Mojego Przyjaciela" poinformować go niezwłocznie o swem powodzeniu. Sam fakt, że zostałem przez redakcję wysłany do Zakopanego, a właściwie do Fiołogłowskiego, zdawał się stanowczo przemawiać za tem, że trudy profesora zostały wreszcie uwieńczone pożądanym rezultatem.

A więc mnie w udziale przypadła zaszczytna misja być pierwszym ze śmiertelników, który posiędzie tę tajemnicę...

Duma zaczęła rozpierać moją pierś.

* * *

Zbliżała się północ. Podążyłem do hotelu. Głośnik ochrypłym basem śpiewał arję transmitowaną z Warszawy. Punktualnie o godzinie dwunastej audycja się skończyła. Po ostatniem uderzeniu zegara usłyszałem nagle:

— Hallo, hallo... panie Kaczko-Dziennikarski (to niby ja!!). Dziś o I-ej po północy uda się pan do profesora Fiołogłowskiego. Zamówiłem dla pana telegraficznie auto, będzie czekało na Krupówkach przed pocztą. Hallo, hallo.... panie Kaczko-Dziennikarski. Dziś o I-ej po północy uda się pan, — i t. d.

Jestem więc bliski celu. Ale co mnie czeka?

O pierwszej po północy byłem przed pocztą. Rzeczywiście stał tam samochód.

— Do Fiołogłowskiego! — powiedziałem szoferowi.

W ciągu kwadransa zajechaliśmy do ładnej willi, położonej wpobliżu doliny Kościeliskiej. Zaledwie auto się zatrzymało, z willi wyszedł jakiś jegomość, o powierzchowności przypominającej raczej poetę niż uczonego.

— Jestem Fiołogłowski, — przedstawił mi się. — Byłem uprzedzony o pańskiem przybyciu. —

Ukłoniłem się z uszanowaniem profesorowi, który wprowadził mnie do mieszkania. Auto odjechało zpowrotem.

Znaleźliśmy się wkrótce w skromnie urządzonym gabinecie, wypełnionym prawie do sufitu książkami poświęconemi sprawom radjotechniki, w polskim i obcych językach.

*) Dokończenie. „Patrz № 9-10 „M. Przyjaciela"

— Cieszę się niewymownie, że redaktor tak prędko i ściśle spełnił moją prośbę. W przeciwnym bowiem razie zmuszony byłbym wykonać swoją próbę bez świadków!

W Fiołogłowskim zastanowiły mnie najwięcej jego oczy. Spokojne, uważne, promieniejące jakąś uporczywą wolą i jednocześnie niezwykle mądre.

— Początek mego eksperymentu, tym razem decydującego o całym wynalazku, wyznaczony jest na g. 2 w nocy. Teraz jest dwadzieścia po pierwszej. Rozporządzamy przeto jeszcze czasem, w ciągu którego zdążę pana wtajemniczyć w istotę mego wynalazku. A propos, — zapytał mnie Fiołogłowski — czy jest pan dość stanowczym i odważnym człowiekiem?

— Nie wiem, — odrzekłem, — przypuszczam, iż posiadam dość woli, aby przezwyciężyć tremę.

— W takim razie wszystko jest w porządku, — uśmiechnął się profesor.

— Niezależnie od tego, — dodałem, — zdecydowany jestem, jako dziennikarz, na wszystko. Gotów jestem ewentualnie dać się zamienić w atom lub... w porcję lodów, jeśli z tego może tylko wyjść przyzwoity artykuł.

Fiołogłowski poprosił mnie o wyjaśnienie sensu ostatnich słów, opowiedziałem mu więc krótko i węzłowato swe wrażenia z ostatniej podróży.

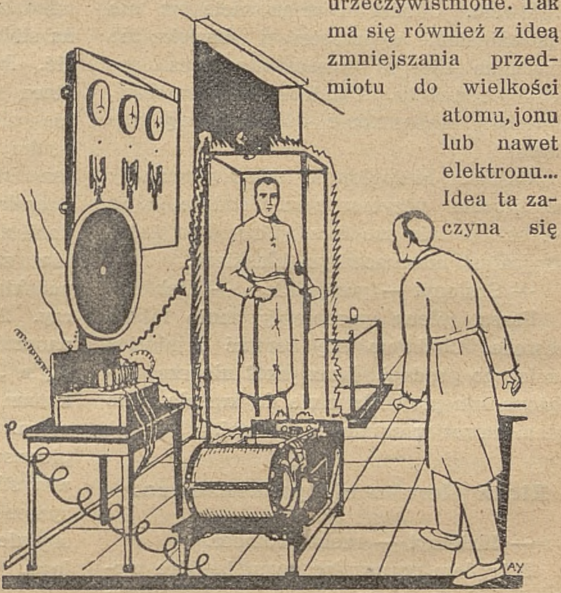
— Ciekawa rzecz, że pańskie przygody stanowią jakby początek łańcucha, który ma się zakończyć tu. Zaraz to panu wszystko wyjaśnię. Depeszowałem do waszej redakcji, aby mi przysłano współpracownika, rozumiejącego się na radjotechnice i mogącego jednocześnie przystępnie przedstawić szerszej publiczności moje przedsięwzięcie, którego świadkiem ma być.

Profesor zapalił cygaro, rozmyślał przez niejaki czas, pogrążony w obłokach dymu, poczem przemówił:

— Jesteśmy gotowi!

Spojrzałem na niego z wielkiem zaciekawieniem.

— Wyobraź pan sobie, — rzekł profesor, — że wiedza nasza postąpiła teraz tak daleko, że zaczyna się zacierać granica między nauką a fantazją, której tyle miejsca poświęca chociażby wasz „Mój Przyjaciel". Często się zdarza, że literatura przeczuwa techniczne wynalazki i udoskonalenia, które faktycznie jeszcze nie istnieją, ale które pomimo wszystko kiedyś jednak zostaną urzeczywistnione. Tak ma się również z ideą zmniejszania przedmiotu do wielkości atomu, jonu lub nawet elektronu... Idea ta zaczyna się urzeczywistniać. Oczywiście te fantazje literackie nie mogły przewidzieć wynalazku w tej ostatecznej postaci, w jakiej został opracowany faktycznie. Ale samo postawienie idei na porządku dziennym jest rzetelną zasługą literatury, która w ten sposób jakby popędza naukę.



Profesor nacisnął guzik i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Jak panu wiadomo, radjotechnika zrobiła w ostatnich czasach kolosalne postępy. Mogłoby się przeto zdawać, że korzystamy już ze wszelkich możliwych jej dobrodziejstw, a więc z przenoszenia radjodepesz i fal dźwiękowych, fotografji i wizerunków. Co najważniejsza, możemy kierować skomplikowanemi mechanizmami na odległość, określać z największą ścisłością punkt znajdowania się okrętów na morzu, rud metalicznych w ziemi i t. d. Ale to jeszcze nie wszystko...

Profesor głęboko się zaciągnął cygarem i rzucił mi jakby wyzywające spojrzenie. Czułem, że ma coś ważnego do powiedze-

nia. Spojrzałem mu prosto w oczy, wielce zaciekawiony.

— To co panu teraz powiem, może się wydać na pierwszy rzut oka tak fantastycznem, tak nieprawdopodobnem, że sama myśl o tego rodzaju pracy zaledwie mieści się w głowie... Chodzi tu mianowicie już nie o przeniesienie w przestrzeni dźwięku lub wizerunku jakiegoś przedmiotu, lecz... samego przedmiotu. A jednak to niemożliwe, zdawałoby się, zadanie udało mi się rozwiązać!

Profesor Fiołogłowski mówił przez cały czas głosem przyciszonym. Ostatnie słowa wyrzekł prawie szeptem. Oczy jego świeciły jakimś niesamowitym blaskiem.

— Szalony! — pomyślałem — Fiskat!

Przez plecy przebiegły mnie lekkie dreszcze. Chciałem się zerwać z miejsca i uciec co prędzej. Lecz jakaś nieprzezwyciężona siła przykuła mnie do krzesła. Nie byłem nawet w stanie się ruszyć.

Złota plomba nie przeszkadza.

— Idziemy! — rzekł profesor.

Z trudem poruszając nogami, które wydawały mi się jakby obcemi, poszedłem za Fiołogłowskim do sąsiedniego pokoju. Tu na ścianach zawieszone były rozmaite instrumenty, a na stołach leżało mnóstwo przyborów radjowych. Pośrodku stała szafa szklana wysokości wzrostu ludzkiego. Wewnątrz szafy widać było jedynie dwie rączki niklowane, tak ustawione, że za nie z łatwością można się było uchwycić rękoma oraz dwie podstawy w kształcie stóp ludzkich. W pobliżu stała skrzynka, dwa razy mniejsza od szafy, również szklana, ale zaopatrzona w metalowe dno.

— Czyżby ta skrzynka miała być dla psa? — pomyślałem, przypomniawszy sobie ostatni sen.

Profesor obrócił rączką, nacisnąwszy jednocześnie guzik. Cały pokój zajaśniał niezwłocznie zielonawem światłem. Jednocześnie dało się słyszeć słabe brzęczenie. Zupełnie, jakby brzęczał rój pszczół. Po upływie kilku sekund powietrze nasiąknęło jakąś dziwną substancją. Lżej było oddychać, jak gdyby po burzy. Nie mogłem wytrzymać, nacisnąłem guzik swego kodaku i zrobiłem kilka zdjęć.

— Daremny trud! — rzekł profesor. — Wszystko naokoło jest tu przesiąknięte specjalnemi promieniami „R", i dlatego pańskie płyty są już popsute. Pozostało nam już niewiele czasu, —rzekł uczony włączając różnokolorowe przewodniki z mocnego miedzianego drutu do przyborów, stojących na stołach. — Postaram się możliwie streścić. Pracując nad przenoszeniem na falach eteru wizerunków kolorowych, omało co nie uległem katastrofie z powodu wybuchu, który przy tem nastąpił. Wybuch ten okazał się szczęśliwym dla mnie, gdyż doszukując się jego przyczyn, wpadłem na doniosły wynalazek przenoszenia przedmiotów zapomocą radja... — Sądząc z wyrazu pańskiej twarzy, nie bardzo pan w to wierzy. Ale wkrótce przekona się pan o tem naocznie! Oczywiście ja sam będę pierwszym „żywym organizmem", na którym dokonam przenoszenia żyjącej istoty na falach eteru. Jeśli próba się uda, pan będzie pierwszym dziennikarzem, który widział wszystko i brał udział w epokowym eksperymencie. Na wypadek zaś, gdyby próba się nie udała, napisze pan piękny nekrolog...

Zegar, znajdujący się na marmurowym postumencie, wskazywał pięć do drugiej.

— Opuszczę pana na jedną minutę, — rzekł Fiołogłowski. Wybiegł i szybko wrócił w białym chałacie lekarskim, który miast guzików miał przepaski z taśmy wełnianej.

— Pan musi też się przebrać, — powiedział profesor. — Nie wolno panu mieć na sobie żadnej rzeczy metalowej. Idź pan do sąsiedniego pokoju i prędko przebierz się, — tam leży chałat.

— Obawiam się, — rzekł profesor, kiedy wróciłem, — że jednak będzie pan musiał pozostać jedynie widzem.

— A właściwie dlaczego? — zapytałem.

Jakiś dziwny spokój mnie ogarnął. Być może dlatego, że sam Fiołogłowski był zupełnie spokojny. To też zaniechać osobistego udziału w tym eksperymencie w żaden sposób nie chciałem.

— Czem są zaplombowane pańskie zęby? Czy srebrem? — badał profesor.

— Nigdy w życiu nie korzystałem z pomocy dentystów, — odparłem, zdziwiony tem zapytaniem.

— W takim razie wszystko w porządku.

Gdyby pańskie zęby były zaplombowane metalem lub gdyby pan posiadał zęby metalowe, tobyś się pan zamienił w ciało lotne, jak nie przymierzając eter, w którym mkną fale radjowe. Ale skoro jest, jak pan mówi, nic panu nie grozi.

Powiedziawszy to, profesor zbliżył się szybko do szafy, obejrzał, czy wszystko jest w porządku, poczem ujął rączki niklowe.

— Uważaj pan, jak ja robię. Mam nadzieję, że się za kilka minut zobaczymy w Warszawie. Do widzenia!

Profesor nacisnął guzik i zatrzasnął za sobą drzwi. Błysnęło zielone światło. Znów rozległo się przejmujące brzęczenie. Ale profesora nie było już widać. Znikł, jak kamfora.

Sekunda.

Minęła może sekunda, gdy nagle z głośnika zawarczał głęboki bas Fiołogłowskiego.

— Przyjacielu — dziennikarzu! Niema więcej odległości! Czekam...

Trudno opisać, co odczuwałem, kiedym się zbliżał do owej szklanej szafy, która automatycznie się otworzyła. Tremy nie odczuwałem wcale, byłem raczej pełen ekstazy.

Wszedłem do szafy. Ująłem rączki i nacisnąłem guzik. Drzwiczki się zatrzasnęły. Znów minęła sekunda.

* * *

— Winszujemy otwarcia pasażerskiej komunikacji radjowej Warszawa - Zakopane!! — spotkały mnie okrzyki.

Wyszedłem z takiej samej szafki. Z początku myślałem, że znajduję się jeszcze w Zakopanem, ale ujrzałem przed sobą nie tylko Fiołogłowskiego, lecz jeszcze kilku nieznanych mi osobników. Zresztą całe otoczenie było inne.

— Gdzie jestem? — było mojem pierwszem zapytaniem.

— Spójrz pan przez okno, a sam pan zobaczy.

Tak też uczyniłem. Przede mną rozpościerały się dobrze mi znane pola Mokotowskie, na których terenie stała potężna radjostacja, wybudowana przez Fiołogłowskiego. Zdumienie moje nie miało granic... A więc rzeczywiście w ciągu zaledwie sekundy, a może nawet ułamka sekundy pokonałem przestrzeń między Warszawą a Zakopanem? Spojrzałem na obecnych. Twarze profesora i jego towarzyszy były uroczyste i promieniowały radością odniesionego zwycięstwa.

— Profesorze... Przebacz mi pan, ale nie mogę wyrazić mych uczuć słowami, — rzekłem z głębi serca. — Jesteś profesorze arcygenjuszem! Wpływ twego wynalazku na losy ludzkości jest wprost nieobliczalny.

Przerwałem jednak przemowę, gdyż przypomniałem sobie swe obowiązki dziennikarskie.

— Najmocniej przepraszam, ale muszę pędzić do redakcji!

Zatrzymano mnie jednak.

— Ale w czem pan pojedzie? Chyba nie w tym chałacie? Zdawało się nam, żeśmy wszystko przewidzieli, a jednak o kostjumach zapasowych zapomnieliśmy, — tłumaczył się jeden z asystentów profesora.

— Mniejsza o ubiór, — rzekłem, —abym się tylko mógł dostać do redakcji!

— Ja również mam pilne sprawy na mieście, — rzekł profesor, wskazując znacząco na swój dziwaczny kitel.

— W takim razie panowie włożą nasze palta, — rzekł jeden z asystentów.

Po chwili wszyscy czterej pędziliśmy autem po Marszałkowskiej.

Na Bielańskiej pożegnałem mych towarzyszy podróży i pobiegłem do redakcji „Mojego Przyjaciela".

Spotkałem się oko w oko z redaktorem. Spojrzał na mnie z takim wyrzutem, jak gdybym mu wyrządził straszną krzywdę. W pierwszej chwili nie mógł nawet ze złości wymówić słowa. Nareszcie przyszedł do siebie.

— Co to ma znaczyć?—krzyknął. — Kpi pan ze mnie czy co? Zamiast spełnić poruczone sobie ważne zadanie, to się pan szwenda po mieście! Miałeś pan pojechać do Zakopanego do profesora Fiołogłowskiego celem uczestniczenia w eksperymentach, a tymczasem nie wyruszyłeś pan jeszcze z Warszawy. Czyż tak postępuje sumienny pracownik?

Zwlekając nieco, dla większego efektu, cedziłem wolno:

— Dopiero co wróciłem z Zakopanego w ekspresie radjowym. Każ mi pan prędko dać moją maszynę do pisania, a sypnę takie sprawozdanie, że wszyscy pękną z zazdrości, dlaczego ja się urodziłem w czepku, a nie oni!

PILOT Z METALU.

MASZYNA, KIERUJĄCA SAMOLOTEM.

Cieszący się wielkim rozgłosem inżynier amerykański Wensley, wynalazca pierwszych „myślących“ maszyn, tak zwanych ludzi-automatów, doczekał się groźnych konkurentów w osobach dwóch Francuzów, techników Maksa Bouchera i Raula Bernarda. Należy zaznaczyć, że „myślące“ automaty Amerykanina mogą spełniać jedynie podrzędne czynności, jaky to: przyjmować pieniądze do kasy, kontrolować bilety, badać poziom wody i tp. Natomiast maszyna typu francuskiego posiada o wiele wyższe umiejętności. Boucher i Bernard wynaleźli mianowicie pilota mechanicznego,—pilota z żelaza i stali. Pilotowi temu, nie posiadającemu nerwów, nic się absolutnie stać nie może. Pomijając już to, że nie jest w żadnym wypadku narażony na utratę przytomności umysłu, zabezpieczony on jest przed rozmaitego rodzaju niespodziankami. Dość wspomnieć o wypadku, jaki niedawno miał miejsce: jakiś pasażer, który wpadł w stan obłąkania, zaczął grozić pilotowi rewolwerem. Ale co może stać się złego pilotowi, który zamiast ciała ma stal, a miast krwi — oliwę?

Bądź co bądź sam widok tego pilota mechanicznego rozczarowałby tych wszystkich, którzy spodziewali się ujrzeć jakiegoś krewkiego sportowca, chociażby z metalu. Albowiem ów pilot metalowy nie posiada ludzkiej postaci, jak naprzykład niektóre automaty inżyniera Wensley'a. Jest on jedynie celowo urządzoną maszyną, która podług sprawozdania pisma francuskiego „Petit Journal“ pracuje znakomicie i przewyższa pod względem precyzyjności wszystko, co genjusz ludzki w tej dziedzinie kiedykolwiek wynalazł.

Zasadniczą częścią składową pilota mechanicznego są stabilizatory w ilości trzech, odpowiednio do trzech płaszczyzn, w których aparat utrzymać musi równowagę. Muskuły pilota, zastąpione przez motory elektryczne, mogą oczywiście pracować z tem większą energją i pewnością. Motory te regulują również odpływ gazu w zależności od tego, czy aparat ma się wznieść, czy opuścić.

Pierwsze próby, czynione z modelem, nie tylko usprawiedliwił nadzieję obu wynalazców, lecz poprostu przekroczyły najśmielsze oczekiwania, jakie przywiązywano do sztucznych pilotów. Nawet równowaga aparatu i jego kierunek pożądany zostały bezwzględnie zabezpieczone. Cały lot odbył się świetnie, a tylko przy lądowaniu okazały się niewielkie niedokładności, które jednakże po uwzględnieniu pewnych usterek w konstrukcji, mogły być zupełnie usunięte. To też model Nr. 2 pilota mechanicznego działa już zupełnie bez zarzutu.

Z powyższego nie wynika bynajmniej, aby praca pilota mechanicznego odbywała się absolutnie bez udziału człowieka. Albowiem owa maszyna „myśląca“, która ma swe miejsce u steru samolotu, reguluje wprawdzie wszystkie ruchy aeroplanu, nie posiada jednakże pewnej umiejętności: aczkolwiek jest to maszyna „myśląca“, nie potrafi jednakże myśleć. Inicjatywę do startu, lądowania, skierowania na prawo lub na lewo, wznoszenia się lub opadania należy więc pozostawić pasażerowi. Zresztą pasażer ma przytem niewielką pracę. Przed nim zawieszona jest tablica z szeregiem guzików elektycznych, obok których znajdują się odpowiednie napisy. Wystarczy naprzykład nacisnąć guzik „do

góry", aby maszyna posłusznie wykonała ruch potrzebny. Tak samo rzecz się ma z guzikami „wdół", „prawo", „lewo", „wiraże", i t. p. Jak widzimy, praca pilota istotnie sprowadzona została do minimum.

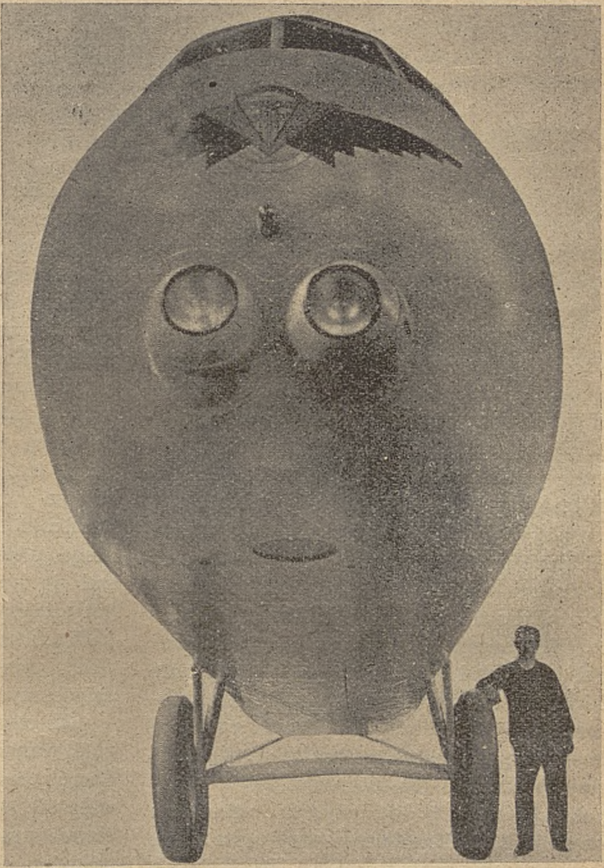
Jest to jeszcze jeden krok na drodze postępu lotnictwa. Sukcesy osiągnięte ostatnio w dziedzinie awiatyki zarówno u nas w Polsce jak i zagranicą pozwalają się spodziewać, że niedaleka jest chwila, gdy obecne środki komunikacyjne zastąpione zostaną przez szybki a wygodny samolot.

Ostatnio ożywioną działalność rozwinęło Międzynarodowe t-wo, mające na celu badanie zapomocą samolotów i sterowców okolic podbiegunowych. Prezesem t-wa jest słynny podróżnik i działacz społeczny dr. Fritjof Nansen. Zbadanie terenów polarnych ma dla całej przyszłości lotnictwa ogromne znaczenie. Prawdopodobnie przez biegun północny będą prowadziły najkrótsze i najbardziej uczęszczane szlaki, łączące Europę z Ameryką północną.

Na ostatniem posiedzeniu komisji, w którem brała udział również Polska, postanowiono wybudować szereg lotnisk w miejscowościach arktycznych, między innemi na Szpicbergu, ziemi Franciszka Józefa, Nowej Ziemi, w cieśninie Beringa i t. d. Miejscowości, które służyły dotychczas jedynie przybytkiem dla białych niedźwiedzi i lisów polarnych, zaludniają się i budzą do nowego życia. Twórcza praca ludzka zmienia powoli nie tylko mapę, lecz i samo oblicze świata!

A. Ryt.

Samolot — potwór.



Na rysunku tym widzimy kadłub samolotu nowoczesnego, konstrukcji „Goliath", zbudowanego niedawno we Francji. Olbrzymi płatowiec zaopatrzony w dwa reflektory wygląda istotnie jak fantastyczny potwór. Rozmiary samolotu możemy sobie wyobrazić porównując je z figurą człowieka, stojącego obok koła podwozia. Przy próbnych lotach samolot ten okazał szybkość ponad 240 klm. na godzinę, zapasy paliwa zaś wystarczają na kilkadziesiąt godzin nieprzerwanego lotu.

•

EJLERT BJÖRKE.

BULO MATARI.

NOWELA.

Komendat Sundvold siedział pod namiotem, rozciągniętym nad trzcinową werandą, i spoglądał na płomienie, buchające hen daleko na dole, gdzieś na nieskończonych sawannach.

Już siódmy rok Sundvold był tutaj jedynym żołnierzem zachodniej cywilizacji w walce z dziewiczą puszczą. Nie miał czasu dziwić się czemukolwiek, a nawet samemu sobie. Siedem lat temu był on jeszcze młodym porucznikiem na dalekiej północy, o wielkich ambicjach, ale małej pensji. Już wówczas Sundvold nie był ani świętoszkiem, ani filozofem. Nadomiar złego nie był on obdarzony tęgiem zdrowiem, które pozwoliłoby prowadzić cygańskie, nieregularne życie. Wobec tego za lat młodzieńczych Sundvold próbował podreparować swoje wątłe ciało różnemi proszkami i innemi patentowanemi środkami, później jednak zdał sobie sprawę, że podobne opychanie się środkami aptecznemi już nie przyniesie pożądanych skutków, i że jedynym ratunkiem pozostaje dlań filozoficzny pogląd na życie. Z rozmaitych swych cierpień i organicznych dolegliwości wyciągnął on jeden jedyny wniosek, stanowiący jakby formułę należytego postępowania na ziemskim padole: każda choroba, lub inne zbliżające się nieszczęście, powinny być niezwłocznie zrównoważone jakimkolwiekbądź, nawet szkodliwym nałogiem.

Zapomocą tej czarodziejskiej formuły udało mu się doszczętnie zniszczyć rozwijające się suchoty przez użycie alkoholu w ilości wprost niewiarygodnej. Kiedy zaś skutki alkoholizmu dały się zbyt wyraźnie we znaki, dał on niezwłocznie nowej chorobie szacha i mata, zamieniając bez żadnych skrupułów rum i whiski na morfinę. W ten sposób Sundvold żył, przechodząc od jednego kryzysu do drugiego.

Za każdym razem zarazki choroby, zwyciężone bakterje, pozostawały w jego wątłem ciele, czyniąc je w przyszłości odpornym na wszelkie możliwe ataki. Przypadek chciał, że Sundvold znajdował się właśnie w dłuższym „stadium opjumowem“ gdy pewnego dnia otrzymał propozycję przyjęcia odpowiedzialnej posady w nowopowstałej kolonji w Kongo.

Propozycja nęciła go perspektywą nowej i tajemniczej przyszłości, widokami świetnej karjery z odznakami, orderami i t. p., lecz przedewszystkiem bajecznie wysokiem wynagrodzeniem. W głębi duszy Sundvold był przekonany, że to jest dla niego jedynem wyjściem. Ale nie spodziewał się tego, że i Kongo znajdzie w nim prawdziwą perłę, — człowieka, który potrafi rozkazywać i trzymać w karbach dyscypliny prowincję, zamieszkałą przez dwadzieścia tysięcy ludożerców plemienia Bantu.

W ciągu pierwszych trzech lat Sundvold przeszedł gehennę prawie wszystkich chorób podzwrotnikowych. Ale później, zdawało się, skończył z niemi raz na zawsze. Nawet straszne febry tropikalne dały mu w końcu święty spokój, natknęły się bowiem w jego wychudłem ciele na orzech nie do zgryzienia. W międzyczasie zdołał on wyćwiczyć swoje zdolności dla godnego sprawowania urzędu.

Domyślił się w krókim czasie, że jedyną możliwością wyróżnienia się zpośród kolegów była zasada: przetrzymać wszystko i stać się twardym jak żelazo. Przed upływem pierwszego trzechlecia zdążył on już dosłużyć się rangi głównego komendanta, właśnie dzięki temu, że nie było jeszcze sytuacji, z której nie znalazłby wyjścia. Codziennie stawiał życie swe na kartę, ale widocznie jakiś zły duch zagnieździł się w tym człowieku i uczynił go niezwyciężonym. Wszyscy czarni djabli nauczyli się szanować i bać jego, jak nowego Tippu-Tipp, słynnego „handlarza hebanem“. Kiedy wyruszał z ekspedycją, naokoło obiegała

groźna przestroga: „idzie Bulo Matari, zwycięzca gór! Niech każdy szykuje albo swój zapas soku kauczukowego, albo własną głowę“.

Sundvold zmienił się bardzo w ciągu tych siedmiu lat, sam zresztą o tem nie wiedząc. Wyschnięta na palącym słońcu skóra ściągnęła się na tym żywym szkielecie w głębokie zmarszczki i wyglądała jak tautuowana. Bulo Matari nie tylko obawiano się wskutek jego nieśmiertelności, ale też nienawidzono za jego tyranję: Sundvold wiedział dobrze o tem nieustającem, groźnem wrzeniu i był przygotowany na wszystko.

Dzisiaj tubylcy podpalili sawannę, jak to zwykli byli czynić zawsze podczas posuchy. Komendant Sundvold siedział na składanym taborecie, rozkoszując się iluminacją oraz butelką whiski z sodową wodą. Wnet pojawił się jego kamerdyner Nabuchadonoser i skłonił się nisko, dotykając ręką kolana swego pana. Miał coś do zameldowania. Jego twarz zbója była wykrzywiona grymasem strachu. Świszczącym, jak zwykle u murzynów, głosem wybełkotał: — Dwudziestoczterogodzinna żmija, Panie!

Sundvold zrozumiał. Czarna żmija, lub po murzyńsku „dwudziestoczterogodzinna żmija“, najbardziej jadowity z gadów afrykańskich, wypłoszona pożarem ze swego legowiska, zjawiła się, aby poszukać przytułku we wsi. Teraz jak zwykle powinno rozpocząć się polowanie z pułapkami, łukami, z wyciem i biciem w bębny, aż ten niesamowity okaz żywy lub martwy zostanie przyniesiony w koszu przed oczy najjaśniejszego komendanta, Bulo Matari. Sundvold dziwił się, że jeszcze nie słyszy piekielnego hałasu, towarzyszącego zawsze polowaniu. Chciał zapytać Nabuchadonosera o przyczynę tak niezwykłej ciszy, ale karzełek gdzieś już zwiał i siedział teraz najprawdopodobniej na poddaszu. Lekkie szmery, dochodzące z bambusowego strychu, zdradzały jego obecność tam.

Wtem śród gałęzi prastarego drzewa mangowego, rosnącego nawprost werandy, rozległ się przeraźliwy krzyk papugi. Po dwóch sekundach natężony słuch Bulo Matari'ego uchwycił jakiś ledwie dosłyszalny dźwięk, jakgdyby ktoś przerzynał namiot nad jego głową ostrem narzędziem. A potem, jakiś czarny piorun błysnął mu koło twarzy i uderzył boleśnie w odkrytą pierś. Sundvold zerwał się na równe nogi, drżąc ze wstrętu na całym ciele. Ręka instynktownie szukała rewolweru, który zawsze nosił za pasem, ale, nim jeszcze oprzytomniał, usłyszał jakieś miękkie uderzenie



Czarny piorun uderzył go w odkrytą pierś...

o podłogę, i tuż koło nóg ujrzał coś grubego, czarnego, co wiło się, czołgało, rzuciło ku schodom werandy i znikło w mgnieniu oka. Na podłodze pozostał szeroki ślad mułu, błyszczący w słońcu. A na piersi u siebie widział dwa krwawe ślady jadowitych zębów, ohydne ślady...

Poruszając się jakby we śnie wylał on na rany trochę whiski, potem wydobył nóż, zanurzył go w butelce i chciał naprędce zrobić nacięcia na tych czerwonawych plamach, które już zaczęły wydzielać dziwny czarny pot. Ale wnet rozjaśniło mu się w głowie. Poco właściwie to robić? Przecież to dwudziestoczterogodzinna żmija, i najpóźniej jutro on musi umrzeć.

Spokojnie wszedł do pokoju, aby uporządkować papiery i napisać ostatni raport. W międzyczasie rany mocno nabrzmiały. Nieprzeparta żądza snu, wypoczynku, owładnęła nim. W głowie mu się zamąciło, usiadł

na trzcinową podłogę i już nie mógł się podnieść. Ostatnie wrażenie, które uniósł z tego świata, był to widok jego starej czarnej gospodyni Mabu, która razem z Nabuchodonosorem leży koło jego łóżka, utknąwszy twarz w podłogę i głośno zawodząc oraz dwie posępne, zachmurzone fizjonomje, które zdają się należeć do jego przyjaciół, —doktora i sędziego.

*

A gdy nazajutrz rano Sundvold obudził się zupełnie przytomny, Mabu opanowała zgroza. Korzystając ze sposobności przywłaszczyła ona sobie wiele drogocennych przedmiotów: budzik, kopertę z igłami, guziki i mosiężne wstążki z munduru. Właśnie chciała zdjąć zielono-czerwony pas, który podtrzymywał spodnie śpiącego, gdy ten otworzył oczy i odżył! Drżąca z przerażenia uciekła Mabu do lasu, gdzie ukrywała się ze swym strachem i przywłaszczonemi rzeczami aż do zmierzchu. Do tego czasu bowiem miał Bulo Matari już umrzeć naprawdę. Również Nabuchadonoser znikł. Tylko młodsza służąca Nam dzielnie pozostała przy swym panu, aby zamknąć mu oczy. — I Nam opowiedziała mu wszystko o Mabu i Nabuchadonosorze. Niepohamowana wściekłość ogarnęła Sundvolda. Przez chwilę leżał on spokojnie i rozmyślał nad niecnym spiskiem, który uknuto przeciw niemu.

Teraz dopiero zrozumiał on podejrzaną ciszę wczorajszą, gdy miało rozpocząć się polowanie na żmiję. Żmija była wtenczas już w koszu przyniesiona na miejsce przeznaczenia, — następnie lekki trzask na strychu, — był to nicpoń, który z koszem dostał się na dach, — następnie krzyk papugi, prawdopodobnie był umówionym znakiem dla złoczyńcy, że on znajduje się właśnie nad głową Bulo Matari,—i wreszcie ostre draśnięcie w płótnie i czarna błyskawica, która tak cudownie zakończyła podstępną grę! Ale najgorsze było to, że cała banda była teraz koło bungalow i obłudnie opłakiwała śmie ć swego pana.

— Nam, — rzekł komendant z trudnością podnosząc się z posłania, — chcę pokazać twym braciom, jak umiera biały zwycięzca gór!

A gdy Sundvold ukazał się na werandzie, trzymając w jednej ręce karabin, a w drugiej butelkę whisky, horda dzikusów przeraziła się. Przez chwilę przyglądała się temu zjawisku, następnie w wielkim popłochu zawróciła i skryła się w lesie. Sundvold czuł, że ogarnia go fala śmiechu i szybko nachylił się do poręczy, aby jakoś się opanować. Następnie usiadł pośród swoich symbolów władzy na polowem krześle, zapalił spokojnie papierosa i polecił Nam przynieść sobie trzy butelki whisky: — jedną na każdą z pozostałych mu do życia trzech godzin.

Było już dawno popołudniu a wieś stawała się wciąż bardziej zdenerwowana. Podobnie, jak wiatr roznosi iskry pożaru, rozniosła się wieść, że duch Bulo Matari siedzi już od wielu godzin na werandzie i wraz z dwoma pozostałymi białymi naczelnikami pije wiele flaszek ognistego płynu. Na górze zaś w małym kole nastrój powoli potęgował się w stosunku prostym do ilości pustych flaszek whisky z sodą, które ciągle przybywały na stół i stawały w równych szeregach.

Nikt z pośród trzech ludzi siedzących na werandzie nie spostrzegł, że Nabuchadonoser pojawił się znowu. Na wyciągniętych rękach trzymał on jakąś dziwną, błyszczącą laskę. Zbliżył się i wybełkotał, przestraszony:

— Dwudziestoczterogodzinna ż m i j a, Panie!

Trzej biali przez dłuższą chwilę jeszcze siedzieli i patrzeli. Widzieli bowiem martwą i stężałą żmiję, leżącą na rękach karzełka. Ten zrozumiał zdumienie, malujące się na twarzach białych i rzekł:

— Zabiłeś ją, panie, własną twą krwią!

Przez chwilę panowała jeszcze cisza. Potem wybuchł orkan.

Szalony śmiech opanował lekarza, a ze stalowych oczu sędziego tryskały łzy. Komendant Sundvold wybuchł śmiechem, podobnym do trąby archanioła...

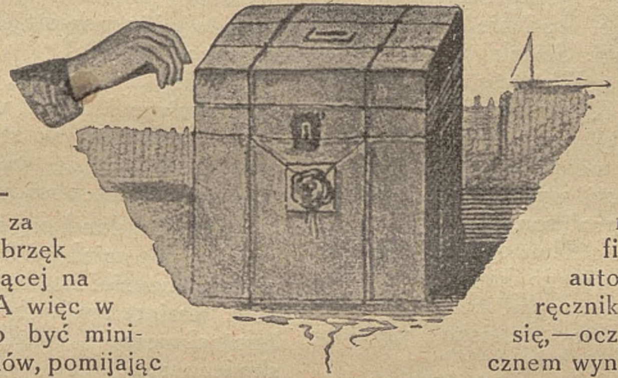
Ukąszenie jadowitej żmiji wszczepiło w ciało Buli Matari ostatnią uzupełniającą odtrutkę. Ale dwudziestoczterogodzinna żmija sama zginęła, ponieważ połknęła cały legjon nowych bakteryj różnych chorób kulturalnych, do których nie była przyzwyczajona...

KONKURS LITERACKI „MOJEGO PRZYJACIFLA“.

Tajemnica wuja Franciszka.

*NOWELA — ZADANIE.**)

NAPISAŁ *ZYGMUNT RZEWUSKI.*



W tym miesiącu widział on siedemnaście razy podniesioną nad aparatem rękę wuja Franciszka i słyszał za każdym razem brzęk monety spadającej na dno aparatu. A więc w liczniku winno być minimalnie 85 franków, pomijając monety, wrzucane w nieobecności Alfreda.

A jednak w skrzynce znaleziono tylko 15 franków! Widocznie po umorzeniu sprawy karnej „wuj Franciszek“ stał się zupełnie bezczelny, a prócz tego chciał odbić sobie straty, poniesione w czasie swej choroby. Najprawdopodobniej jednak — poprostu kpił sobie z Towarzystwa! Wesoły wyraz jego starej lisiej gęby nie pozostawiał żadnej wątpliości, iż wspaniale się bawi tą mi tyfikacją.

— Więcej odwagi... — mówił sam do siebie Alfred. — Nie należy tracić humoru! Od tego przecież zależy moje przyszłe szczęście!

Znowu zmieniono skrzynkę — a nowy aparat cały był owiązany sznurkami i zaopatrzony aż w trzy pieczęcie z laku. Pieczęcie były sfotografowane. Prócz tego przed ich nałożeniem prezes napisał na tekturach jakieś nikomu nieznane słowa i niezwłocznie zalepił je lakiem. Przy najbliższej kontroli łatwo się można będzie przekonać, po zdjęciu pieczęci, czy autografy dyrektora zostały nienaruszone.

— Ho, ho! — rzekł profesor fizyki i chemji, autor znanych podręczników, zajmujący się,—oczywiście za znacznem wynagrodzeniem,— techniczną stroną sprawy.— Teraz to sam Lucyper figla by nie spłatał!

Powiedziawszy to, poklepał z zadowoleniem żelazny automat, niczem żywą istotę.

Alfred znów zaczął śledzić. Nie zaznawał on teraz prawie zupełnie snu. Gdy zanosił starcowi na noc do sypialni butelkę mrożonej oranżady, znajdował w sobie dość siły woli, aby, po całodziennej pracy, przyczaić się w korytarzu w pobliżu jego sypialni i nie spuszczać oka z portjery, zakrywającej drzwi do pokoju kąpielowego. Być może, iż Cafourchon wychodzi nocą i zajmuje się swoją mechaniką, kiedy wszyscy śpią?

Ale noc mijała za nocą — i „wuj Franciszek“ pozostawał w swoim pokoju, wychodząc dopiero w południe w szerokim perskim szlafroku do pokoju kąpielowego, gdzie brał wannę. I wówczas Alfred widział zawsze, jak starzec stojąc odwrócony plecami do drzwi, wyciągał z kieszeni woreczek

*) Dokonczenie. Patrz Nr. 9-10 „M. Przyjaciela“.

i opuszcza coś w owiązany sznurkami aparacik, wyglądający jak dziecko w powijakach. Pozatem nie zauważył nigdy Alfred, aby starzec robił jakiekolwiek manipulacje z licznikiem w dzień lub w nocy. Najbardziej staranne obserwacje nie dały żadnych wyników, któreby zdemaskowały przebiegłość starca. Przy następnej kontroli znaleziono tylko 30 franków. Wszystkie pieczęcie i sam aparat były w należytym porządku. Przeprowadzono nawet skrupulatne badanie wewnętrznej części skrzynki. Ścianki i dno były zupełnie czyste. Wykryto jedynie niewielką rdzę. Kiedy po kilku dniach Alfred, przyjęty przez dyrektora dość zimno, zaczął mówić o tej rdzy, jako o *corpus delicti*, wyśmieli go zarówno prezes, jak i profesor.

— Cóż w tem dziwnego, że dno aparatu, funkcjonującego kilka lat, nieco zardzewiało? — zapytał ironicznie profesor. — Jest to zjawisko zupełnie naturalne.

— Ale jak się ma sprawa z innemi aparatami?— nie ustępował Alfred. — Jestem tu już od kilku lat zatrudniony jako elektrotechnik, a takiej rdzy jeszcze nigdy nie widziałem!

— Rdza wcale nie jest znów taka wielka, — odrzekł profesor. — Analiza nic podejrzanego nie wykazała. Rdza, widocznie, powstała poprostu wskutek wilgoci, której w pokoju kąpielowym nigdy nie brak...

— Ale pan chyba nie wierzy w cud, panie profesorze! Ta przeklęta sprawa musi przecież mieć jakieś realne podłoże! — krzyknął wzburzony Alfred.

Profesor poprawił okulary.

— To już nie należy do mojej dziedziny. Jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, to mogę panu powiedzieć, że my chyba dlatego tylko nie możemy zdemaskować tego nieokrzesanego chłopa, że przyjęliśmy pod uwagę wszystko oprócz zdrowego chłopskiego rozumu...

A kiedy Alfred zrobił ruch, jakby chciał oponować, profesor nie dał mu przyjść do słowa.

— Tak jest, powtarzam, pomysł takiego „wuja Franciszka“ winien być nieskomplikowany, jak jajko Kolumba.

— Że też ja odrazu nie skapowałem, iż od zakochanego nie można oczekiwać wielkiego pożytku! — roześmiał się złośliwie prezes. — Rzuć już pan tę sprawę, bo jeszcze może pan głupstwa narobić!

Nie, panie prezesie! — energicznie sprzeciwił się Alfred. — W portfelu posiadam zobowiązanie Towarzystwa, i do terminu pozostaje mi jeszcze około trzech tygodni!

Prezes nie znosił, gdy mu się sprzeciwiano i wpadł we wściekłość:

— Jeśli pan tak stawia sprawę, to uważaj się pan za wydalonego z zajmowanej u nas posady!

Alfred ukłonił się i wyszedł w milczeniu. Nie miał już teraz nic prócz pięknej nadziei na owe 10.000 franków. Karjerę swą w Towarzystwie Elektrotechnicznem mógł już uważać za skończoną.

Ostatnio widywał się on rzadko z narzeczoną, zajęty swemi obowiązkami „lokaja“ oraz trudnem zadaniem, które miał rozwiązać. Machinalnie skierował teraz swe kroki ku Boulevard des Capoucins, gdzie o godzinie jedenastej miała go oczekiwać narzeczona. Wszak wolny był tylko w godzinach przedpołudniowych.

Panienka spotkała go z zapłakanemi oczyma.

— Błagam cię, Alfredzie, działaj prędzej! Wujaszek nie chce dłużej czekać. Mój narzeczony, jak on nazywa konkurenta, bywa u nas codziennie... Zamówiono już nawet ślubną suknię...

— Ależ to jest zdrada! Mam przecież jeszcze trzy tygodnie!

— Wujcio nie chce bynajmniej złamać słowa, tylko utrzymuje, że w ciągu jednego dnia suknia nie da się zrobić, a zaraz po pierwszym ma być wesele...

— A ty co na to, kochanie?

Ona była stworzeniem łagodnem, jak owieczka.

— Najdroższy, widzisz sam, że płaczę... Cóż jeszcze mogę uczynić? Dałam zresztą wujowi słowo...

— Widocznie ten laluś czekoladowy nie wzbudza w niej wstrętu,—myślał Alfred, wchodząc po schodach, prowadzących do szkoły tańców i przechodząc istne katusze zazdrości. — Zresztą... on wszak jest bogaty... a jam się popisał jak prawdziwy niedołęga. Ale swego nie odstąpię! Muszę dopiąć celu!

Chlebodawca Alfreda był już na nogach.

— Gdzie się pan szwendasz? — zapytał Alfreda ponurym głosem. — Nie ogrzałeś jeszcze wody dla wanny!

Zasmucony młodzieniec wziął się do pracy. Kiedy starzec wszedł do pokoju kąpielowego Alfred jak zwykle zajął swój punkt obserwacyjny.

Zaglądał przez dziurkę wprost bezwiednie, z przyzwyczajenia. Obecnie wydawało się to raczej bezcelowem, wprost beznadziejnem...

Raptem został silnie uderzony otworzonemi znienacka drzwiami.

„Wuj Franciszek" stał na progu i zakasał rękawy szlafroku.

— Szpiega złapałem! — krzyknął on. — Ja cię, mój drogi, dawno podejrzewałem, a już wczoraj domyśliłem się z twej fizjomordy, coś ty za ptaszek. Oddawaj fartuch i wynoś mi się! Jazda! Prędzej! Bo inaczej dam ci porządne lanie!

Starzec był mocny i muskularny, wyższy od Alfreda omal o głowę. Ale świadomość, że wszystko teraz stracone, zamroczyła umysł elektrotechnika. Krew uderzyła mu do głowy i z krzykiem rzucił się na starca. Ten, nie oczekując ataku, został przyparty do wanny i o mało co nie wpadł do wody, ale zdołał się utrzymać na nogach i ujął nieszczęsnego bohatera w swe silne ramiona.

— Ach ty, zbóju! Ratunku! Policja!

W korytarzu rozległy się głosy. Służba leciała na pomoc...

WARUNKI KONKURSU LITERACKIEGO.

1. Proponujemy czytelnikom nadesłać nam ostatni, brakujący rozdział tej noweli. Dwie najlepsze prace nadesłane będą wydrukowane w piśmie i nagrodzone premjami: pierwsza **150** *złotych, druga* **50** *zł.*

2. W konkursie tym mogą uczestniczyć wszyscy prenumeratorzy „Mojego Przyjaciela".

3. Rękopisy powinny być drukowane na maszynie, lub przepisane bardzo czytelnem, wyraźnem pismem (atramentem, nie ołówkiem!), podpisane imieniem i nazwiskiem autora i powinny zawierać dokładny jego adres.

4. Na pierwszej stronicy rękopisu należy przykleić drukowany adres prenumeratora, wycięty z opaski, w której prenumerator otrzymuje „M. Przyjaciela".

5. Ostatni termin nadsyłania rękopisów — 20 grudnia 1928 roku. Rękopisy nadesłane po upływie tego terminu nie będą dopuszczone do konkursu.

6. Celem uniknięcia nieporozumień radzimy posyłać rękopisy listem poleconym, z adnotacją na kopercie: „konkurs literacki".

7. Nie wyróżnione na konkursie rękopisy będą zwrócone autorom, o ile do rękopisu zostanie załączona koperta zaopatrzona w adres autora i znaczki pocztowe. Nazwiska autorów będą zachowane w tajemnicy. W piśmie zostanie podany do wiadomości czytelników ogólny wynik konkursu oraz liczba nadesłanych na konkurs rękopisów.

8. Redakcja nie udziela żadnych indywidualnych ocen rękopisów, nie nagrodzonych na konkursie.

SŁONIE MAHARADŻY.

KARTKI Z PODRÓŻY PO INDJACH.

Znaczną część owych sześciu tygodni, które spędziłam w Mysore, przeżyłam w najbliższem sąsiedztwie słoni Maharadży. Poznałam osobiście nietylko te mądre zwierzęta, lecz również ich dozorców, zwanych mahutami. Z pośród czworonożnych pupilów maharadży ulubieńcem moim był Nurri który gra też główną rolę w moim filmie. Kiedy go odwiedzałam, zaczynał niezwłocznie swoją trąbą badać zawartość moich rąk i kieszeni: uważałby to wprost za niemożliwe, abym mogła doń przyjść, nie przyniósłszy mu przyzwoitej porcyjki cukru trzcinowego. Słowem, było to poczciwe i łagodne „zwierzątko", kochające szczególnie dzieci, którym pozwalało robić z sobą, co się im żywnie podoba.

Wyjątkową serdeczność okazywał Nurri zwłaszcza dla pewnej „matrony" z rodziny słoni. Została ona niedawno przywieziona z dżungli w niezupełnie zdrowym stanie. Aczkolwiek niejednokrotnie próbowałam zasięgnąć wiadomości o jej przeszłości, nie mogłam się niczego dowiedzieć. Widocznie wstydzono się sposobu, w jaki ją schwytano, nie widząc w tem dla siebie wielkiej chluby. Dzięki jednakże kilku rupjom, na które wszyscy Hindusi są bardzo wrażliwi, dowiedziałam się wreszcie, jak się chwyta słonie; kopją mianowicie w dżungli głęboki dół, który pokrywają starannie gałęźmi i bambusem. Rów taki zwykle urządza się na skrzyżowaniu dróg, uczęszczanych przez dzikie zwierzęta.

Kiedy mahuci podeszli pewnego razu do rowu, spostrzegli obok niego ową „matronę", dziko bijącą swą trąbą o ścianki jamy i wydającą przeraźliwe ryki, w których wyczuwać można było ból i rozpacz. Dziki słoń jest jednem z najstraszniejszych zwierząt na świecie, tak że mahuci odważyli się przybliżyć z wielką tylko ostrożnością. Wreszcie mahutom udało się dostać niespostrzeżenie do rowu, gdzie znaleźli słoniątko nawpół zagłodzone. Miłość macierzyńska nie pozwoliła starej oddalić się od swego pojmanego dziecka, i podczas gdy słoniątko rozpaczliwie kwiliło w rowie z głodu, matka cierpiała męki z nadmiaru mleka, którego nie mogła oddać swemu dziecku.

Co się tyczy dalszych dziejów owej „matrony", to nie wszyscy opowiadali je jednakowo. Jedni przeczyli drugim, co do sposobu, jakim udało się zaprowadzić rozgoryczyną matkę do osady. Ostatecznie nie udało mi się uzyskać zupełnie wiarogodnych wiadomości o tem zdarzeniu; jeden tylko, niestety, fakt nie ulegał wątpliwości, mianowicie, że nieszczęsna matka odniosła wtedy olbrzymie rany. Odtąd znajdowała się w osadzie, przykuta łańcuchem do słupa, trapiona swemi ranami, zachowując się zresztą dość apatycznie. Jedna jedyna troska zachowywała śmiertelnie chorą przy życiu: dziecko. Słoniątko to było najmilszem i najbezczelniejszem stworzeniem, jakie sobie tylko można wyobrazić. Nie większe od przeciętnego doga, biegało wszędzie swobodnie. Przy spotkaniu ze mną dotykało się swą trąbeczką wpierw twarzy, a później obmacywało suknię. Hindus widzi w słoniu swego „bezradnego brata" — to też wszyscy mahuci pielęgnowali ropiące rany chorej, wobec której dozorcy musieli jednak zachowywać wielką ostrożność, gdyż zbyt blisko do siebie nikogo nie dopuszczała. Rany myto w ten sposób, że dozorcy sadowili się za pewnym olbrzymim wytresowanym słoniem, którego chora się bała, i pod tą osłoną przystępowali dopiero do zabiegów, przyczem ręka wraz z gąbką całkiem znikała w głębokiej ranie.

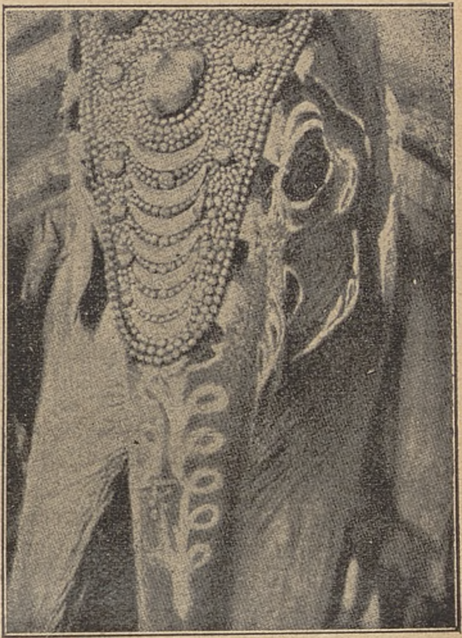
Pewnego razu, kiedy przybyłam wraz z moimi towarzyszami do osady, panowało tam wielkie wzburzenie. Zaofiarowano nam miskę ryżu, dozorcy przybiegli z talerzami, pełnemi orzechów, inni znów częstowali nas cukrem trzcinowym. Wszystkiego musieliśmy potrochu skosztować, aby dozorca, który po raz pierwszy miał dosiąść grzbietu chorej, zawsze miał szczęście. Chorą przy-

wiązano do dwóch słoni, ustawionych po bokach; trzeci słoń, ustawiony na czele, prowadził kondukt. Wreszcie na jej grzbiet dostał się młody zręczny mahut. Prawdopodobnie duma dzikiego słonia najbardziej cierpi, kiedy na swym grzbiecie dźwigać musi człowieka. Gdyby biedaczka nie była ze wszystkich stron uwiązana, postąpiłaby z pewnością tak, jak inne słonie robią w ataku furji. Rzuciłaby się mianowicie na ziemię i przygniotła lub stratowała jeźdźca na śmierć. Mimo wszystkie środki ostrożności taka pierwsza jazda jest walką o śmierć i życie: rzadko się bowiem zdarza, aby wytresowane słonie bez żadnego sprzeciwu zdradzić miały brata lub siostrzycę.

I oto zaczyna się fantastyczna scena. Jeden słoń ciągnie przed siebie, drugi na prawo, trzeci na lewo, i tak się porusza ta dzika kawalkada, przyczem chora nie ma żadnej sposobności do obrony. Wszyscy mahuci osady towarzyszą temu biegowi, wznosząc głośne okrzyki. Słonie tresowane, użyte do tego celu, znajdują się przeważnie od lat 30 w niewoli i już zapomniały o tem, że niegdyś cieszyły się wolnością w dżungli. Droga wiodła przez osadę, następnie przez gościniec i z powrotem do wielkiej studni. Tu się zatrzymano. Śmiertelnie znużona matka miała się napić wody... i oto nastąpiła chwila tak wielkiego bólu i cierpienia, że nigdy o niej nie zapomnę. Chora która stała przy studni, nagle podniosła jedną przednią nogę, następnie drugą, weszła do studni i znikła w głębokości.

Wszyscy rzucili się na pomoc, pragnąc wydobyć z wody nieszczęśliwe zwierzę. Biedaczka wpadła w omdlenie i leżała na dnie studni bez oznak życia. Wrzeszcząc przeraźliwe, dozorcy doprowadzili ją wreszcie do przytomności, tak iż mogła po 20 minutach stanąć na własnych nogach poczem przy pomocy wszystkich dozorców i słoni wydostała się ze studni.

W drodze powrotnej zwierzę nanowo zaczyna się buntować. Rzuca się na wielki kamienny słup, od którego nie mogą go odciągnąć połączone wysiłki ludzi i słoni. Rozszalałe zwierzę odrzuca słonia z prawej strony i zamierza przycisnąć jeźdźca do muru. Sytuacja staje się nader krytyczną. Mahut znajduje się w największem niebezpieczeństwie...



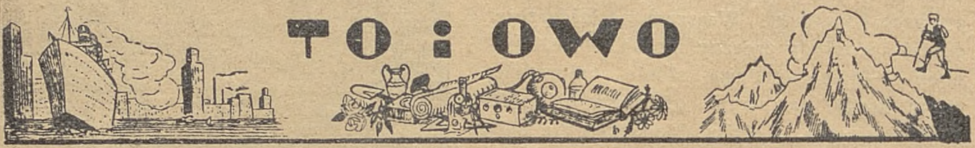
Najulubieńszy słoń maharadży. Ciało zwierzęcia okryty jest tkaniną, usianą drogocennemi kamieniami.

I tu nagle, w momencie gdy położenie wydawało się bez wyjścia, zjawił się nieoczekiwanie ratunek.

Z głośnym rykiem rzuca się słoniątko ku matce, plącze się jej pod nogami, oplatując trąbą jej przednie nogi. Matka jest skrępowana, lecz nie może stratować własnego dziecka. Po krótkim oporze zwierzę zaniechać musi walki i oddaje się uczuciom macierzyńskim.

Odtąd duma chorej jest złamana i ona zaczyna uznawać młodego mahuta za swego pana. Kilka dni później odbyła się uroczystość urodzin maharadży, przyczem wszystkie słonie pomalowano na pstro. W pochodzie widziałam również słoniątko i jego chorą matkę, której rany okrywała wyszywana złotem derka. Spokojnie kroczyła ona w procesji: pogodziła się widocznie zupełnie ze swym losem.

A. S.



Śpiewające litery.

Co najwięcej dolega ślepemu, to niemożliwość czytania. Pozbawiony uciech, dostępnych dla normalnego człowieka, niewidomy, zwłaszcza inteligentny, cierpi niewymownie, gdyż zamknięty jest przed nim świat myśli. Wypukłe litery dla ślepców nie rozstrzygają sprawy już chociażby z tego względu, że odpowiednie książki są bardzo kosztowne, a przedewszystkiem nieliczne. Lektura aktualna, zwłaszcza prasa perjodyczna, staje się naogół dla tych nieszczęśliwych ludzi niedostępna. Stąd dążenie współczesnej techniki do uprzystępnienia ślepcom każdego druku.

Jakby było dobrze, gdyby się udało litery zastąpić dźwiękami, zrozumiałemi dla niewidomych! Tak, byłoby to bardzo pożądane, lecz niestety wydaje się zbyt trudnem do osiągnięcia. Na szczęście jednak, współczesnej technice udało się osiągnąć tak wielkie sukcesy w tej dziedzinie, że jest już bliska urzeczywistnienia tego ideału. Wprawdzie nie można jeszcze było tak urządzić, aby litery mówiły, ale za to mogą... śpiewać.

Pomysłowy mechanizm przekształca, dzięki zastosowaniu elektryczności, obraz poszczególnej litery w pewien ton lub półton. Niewidomy czyta ze słuchawkami na uszach.

Pomysłowy aparat wynaleziony został przez fizyka amerykańskiego, E. C. Browna, który zastosował tu własność selenu stawania się przewodnikiem prądu przy oświetleniu. Szczególnie czułe okazały się kryształy selenu, które oddają każde drganie światła, jako drganie prądu. Prąd zostaje doprowadzony do membrany, znajdującej się w słuchawkach, przyczem różnym napięciom odpowiadają różne tony. W ten sposób powstaje symfonja drukowanych liter. Kryształ selenu prowadzi się po wierszach, których litery dźwięczą tonami charakterystycznemi.

Korzystanie z tego aparatu nie wymaga muzykalności, ale w każdym razie dobrego słuchu. Po upływie pewnego czasu rozumieją niektórzy ślepcy śpiew liter nie gorzej, niż telegrafiści — uderzenia aparatu Morse'a. To też próby, czynione z tym aparatem, dały wyniki zadawalniające.

Natomiast inny aparat, t. zw. „Optophon", wynalazek technika angielskiego d'Albe'go, również opierający się na własnościach selenu, wymaga już większej muzykalności, ponieważ litery dźwięczą tu nie jak tony lecz jak akordy.

Bądź co bądź skomplikowana konstrukcja tych aparatów i zastosowanie tonów zamiast słów stanowią niemałą przeszkodę do ich rozpowszechnienia. Miejmy nadzieję, że uproszczenie mechanizmu i otrzymanie dźwięków słownych zostanie osiągnięte w najbliższej już przyszłości.

Pierwszy samolot na wyspach Fidży.

— To jest bezsprzecznie najwspanialszy lot przez ocean, jakiego dotychczas byliśmy świadkami, — rzekł Karol Lindbergh, otrzymawszy wiadomość o skończeniu drugiego etapu lotu, którego dokonał amerykański samolot „Południowy Krzyż" na przestrzeni pomiędzy wyspami Hawajskiemi a Fidży. 5.100 kilometrów, w ciągu 34 godzin i 30 minut! Komandor Byrd w związku z powyższym lotem oznajmił:

— Lot Smitha i jego towarzyszy jest najwspanialszym ze wszystkich, jakie kiedykolwiek były dokonane. Stwierdzono jeszcze raz, że po starannem przygotowaniu loty tego rodzaju mogą być zupełnie pomyślnie wykonane.

O tym śmiałym rajdzie rozpisują się pisma amerykańskie, podkreślając zwłaszcza szczegóły, świadczące o olbrzymich trudnościach, jakie się piętrzyły przy urzeczywistnianiu śmiałego planu. Na szczęście udało

się Smith'owi i jego australijskiemu ziomkowi Ulm'owi pozyskać dla swego przedsięwzięcia miljonera Hancock'a, który je szczodrze sfinansował.

Przedewszystkiem jednakże należy podziwiać wytrwałość i odwagę wszystkich lotników i mechaników, którzy brali udział w tej wyprawie. Ponieważ byli oni pierwsi, którzy szybowali z Ameryki do Australji ponad Oceanem Spokojnym, więc im też przypadło w udziale zapoznać mieszkańców licznych wysp z widokiem aeroplanu.

Na wyspie Suwie, największej z grupy Fidży, niema lotniska. Wyspy te leżą zupełnie odosobnione pośrodku oceanu, wobec czego posiłkowanie się samolotami w komunikacji z niemi, byłoby przynajmniej teraz zupełnie bezcelowe. Bądź co bądź z pośród 10.000 mieszkańców Suwy siedem tysięcy nie wyobrażało sobie nawet, że człowiek może się poruszać w powietrzu. Natomiast z samochodem są ci wyspiarze doskonale obznajmieni. Na skrzyżowaniu głównych ulic miasta, gdzie policjant — krajowiec, bosy, noszący jedynie skórzany fartuch na biodrach, kieruje ruchem ulicznym, aż się roi od aut. Stosunek taksówek do powozów prywatnych jest tam znacznie większy, niż naprzykład w Nowym Yorku Na 3000 białych przypada 900 samochodów Zostać szoferem taksówki jest marzeniem każdego tubylca, który do cięższej pracy chęci wielkiej nie okazuje i woli grać w krokieta lub piłkę nożną.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wielką sensacją było zjawienie się „Południowego Krzyża". Z początku tubylcy odrętwieli wprost ze zdumienia. Kiedy jednak przyszli do siebie, zaczęli okazywać dziecinną wprost wesołość: skakali wokół aparatu, tańczyli, śpiewali i najbardziej zabawnemi ruchami starali się okazać radość i zadowolenie. Lądowanie aparatu nastąpiło na placu footballowym, który jednak został odpowiednio powiększony przez wyrąbanie niektórych drzew i chwilowe usunięcie słupów i drutów telegraficznych.

Po burzliwych owacjach i odpoczynku, który nie mógł oczywiście przekroczyć przepisanego terminu, lotnicy obdarzeni hojnie podarunkami udali się w dalszą podróż celem przezwyciężenia następnego etapu.

Dziwactwa miljonerów.

Bogactwo w połączeniu z życiem próżniaczem sprzyja zawsze powstawaniu skłonności do dziwacznych czynów, które wywołują u zwykłych śmiertelników uśmiech zdziwienia a często nawet politowania. Trudno byłoby inaczej się odnosić do „oryginalnych" postępków owych wybrańców fortuny.

O zmarłym niedawno multimiljonerze L. opowiadają, że pewnego razu posłał samolot z Londynu do Brukselli po kapelusz, w którym chciał się wybrać do teatru. Ten sam bogacz dobierał sobie lokajów różnego wzrostu, przyczem wysokiego używał do zapinania krawatów, niskiego do ściągania obuwia i t. d. Miał on nawet specjalnego kucharza do każdej poszczególnej potrawy...

Bywają bogacze, których nuży wystawne życie. Szukają oni skromniejszych warunków bytu na podobieństwo królów, jeżdżących incognito. Niektórzy z nich dochodzą wprost do melancholji. Stwierdzono, że zadośćuczynienie wszystkim swym kaprysom wywołuje najczęściej u nich neurastenję, wskutek czego najenergiczniejsi z nich zaczynają poszukiwać laurów w zupełnie nowych zawodach: ten chce się odznaczyć jako artysta, ów jako mąż stanu i t. p.

Dla osiągnięcia swych celów nie szczędzą oni żadnych środków ani sił, zakładają teatry, organizują wydawnictwa, instytucje społeczne, szpitalne. Głównie zależy im na rozgłosie, to też w życiu prywatnem wielką szczodrością się nie odznaczają.

O ile jednak o przedstawicielach tej ostatniej grupy możemy powiedzieć, iż przynoszą korzyść społeczeństwu, to znajdują się znów tacy, którzy nie są pożyteczni ani dla siebie ani dla innych. Włóczą się oni bezcelowo po morzach, pędzą z miasta do miasta, z kasyna do kasyna, z dancingu na dancing. Są to przeważnie Amerykanie i Anglicy. Niektórzy z nich odziedziczyli we wczesnej młodości znaczny majątek, inni, głównie Jankesi, dorobili się już w jakimś 35-ym roku tak znacznego majątku na giełdzie lub trzodzie chlewnej, że mogą sobie w drugiej połowie życia pozwolić na zupełne próżniactwo.

Wielu z nich jednakże brak najbardziej elementarnej kultury. Ponieważ udało im się zbić majątek, więc wydaje im się, że nie

mają potrzeby uczyć się czegokolwiek. Nudzą się oni jednakowo w Rzymie i Bagdadzie, jak i w Londynie. Słyszy się więc często, jak biadają, że życie ich jest czcze i puste.

Ale i z Europejczykami nie jest o wiele lepiej. Oto pewien Francuz, właściciel ogromnych majątków ziemskich, w których posiada piękne zamki i parki, obrał sobie taki tryb życia: kazał sobie wybudować auto mieszkalne, w którem niema okien. Powietrze doprowadzane jest zapomocą kunsztownego systemu wentylacji na dachu. W tym samochodzie przebywa on w Paryżu, w tymże aucie mknie, jak szalony, po różnych krajach, których nawet nie ogląda. Odżywia się nader skąpo i obsługiwany jest przez ludzi, z którymi bezpośrednio się nie styka. Niekiedy każe rozrzucać pieniądze pomiędzy ubogich, ale nic go nie może skłonić, aby pozwolił komukolwiek wejść do swego auta.

Cieszył się także rozgłosem pewien bogacz, który uważał za punkt honoru otrzymywać audjencje u panujących. A gdy się już spotkał wreszcie oko w oko z monarchą, to nie mógł znaleźć innego tematu do rozmowy jak zaofiarować mu swe usługi w charakterze bankiera.

Niemałym oryginałem był też pewien lekarz, który dorobił się wielkiej fortuny. Jedzenie musiano mu podawać literalnie na zawołanie. Po wydaniu rozkazu nie pozostawało nawet minuty na przyrządzenie jadła. Cóż więc robić? Otóż cały dzień gotowano, pieczono, smażono najprzeróżniejsze specjały, aby w krytycznej chwili można było podać żądaną potrawę. Kosztowało to wprawdzie niemało pieniędzy, ale cóż to znaczyło dla doktora, który pobierał dziesiątki tysięcy za jedną operacje!

Wart wspomnienia jest również pewien właściciel kopalń, utrzymujący w każdem mieście, które odwiedzał, po trzy samochody, — jedynie w tym celu, aby w razie przyjazdu do któregoś z tych miast mógł jechać własnem autem. Skorzystać z wynajętego uważał wprost za hańbę.

Natomiast komiczne wprost wrażenie wywiera na nas postępowanie pewnego Nowobogackiego. Opłacał on mianowicie ludzi jedynie poto, aby mu się kłaniali na ulicy. Pewnego człowieka, który prezentował się okazale, miał na swem utrzymaniu i ubierał u pierwszorzędnych krawców, przyczem jego ukłony szczególnie sobie cenił.

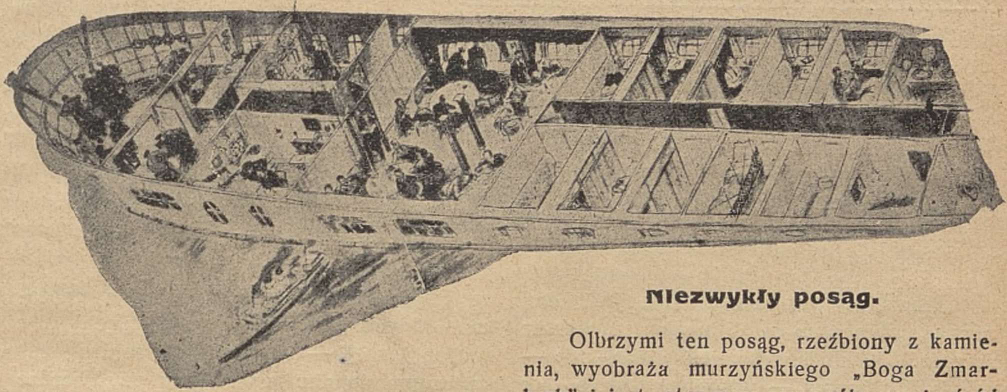
A ci kolekcjonerzy!.. Naprzykład ów sympatyczny włoski miljoner, który zbierał słonie ze szkła, złota, platyny i t. d. w najprzerozmaitszych odmianach stylowych. To stało się u niego jakąś manją chorobliwą. Nie zwracał najmniejszej uwagi na ubranie, nosił podartą bieliznę i dziurawe spodnie. Ale słonie wyszukiwał w całym świecie i sprowadzał je do swego domowego muzeum we Włoszech. Dostał wreszcie pomieszania zmysłów i zmarł, będąc najmocniej przekonany, że jest słoniem Trzymał nawet głowę w ten sposób, jakgdyby ta była obarczona... trąbą.

Oddzielną grupę stanowią gracze. Niektórzy z nich posiadają tyle pieniędzy, że w żaden sposób nie zdołaliby się ich pozbyć zwykłym trybem. Wobec tego przepędzają oni dnie i noce za zielonym stolikiem, opanowani gorączką złota. Ale nie samo złoto ich nęci. Konieczna im jest właśnie emocja nerwowego oczekiwania. Wygra czy przegra, — oto co interesuje gracza. Oczywiście, muszą oni grać odpowiednio do swego bogactwa, ponieważ małe sumy, jako nie mające znaczenia, nie mogą w nich wywołać emocji.

Na zakończenie wspomnimy o innego rodzaju dziwaku zpośród rodziny miljonerów. Sprawiał on sobie „gotowe ubiory", nosił nader liche krawaty, zajmował skromne mieszkanko i stołował się po tanich jadłodajniach. Przysłuchiwał się rozmowom robotników i żołnierzy, ich doli i niedoli. A gdy uznawał kogoś godnym lepszego losu, wsuwał potajemnie do jego kieszeni kilka tysięcy marek i ulatniał się, jak nowoczesny Harun al Raszyd.

Ostatecznie przeciwko takim oryginałom trudno coś powiedzieć. Oby ich było jak najwięcej!

Nadmienimy jeszcze, że zwyczaj zapisywania w testamencie znacznej części majątku na cele dobroczynne zakorzenia się coraz bardziej. Tak np. w Anglji w ciągu 1927 r. takie dotacje testamentarne osiągnęły pokaźną sumę: trzydzieści cztery miljony funtów szterlingów. Jest to zjawisko świadczące o wysokiej społecznej kulturze narodu.



Sterowcem przez Atlantyk...

Oto obraz komunikacji niedalekiej już przyszłości! Rysunek przedstawia urządzenie wewnętrzne Zeppelina, który przed kilku dniami odbył podróż napowietrzną z Berlina do Nowego-Jorku. Widzimy wygodne pomieszczenie dla pasażerów, kabiny dla załogi, nawet krytą galerję zaopatrzoną w wygodne szezlongi, siedząc w których pasażerowie mogą się zachwycać roztaczającemi się na dole widokami. Lecz, niestety, właśnie ostatni rajd powietrzny niemieckiego sterowca dowiódł, że bezpieczeństwo transatlantyckich podróży napowietrznych pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Sterowiec uległ w drodze poważnym uszkodzeniom, i tylko dzięki pełnej poświęcenia pracy załogi nie zatonął w falach Oceanu. Jak się potem okazało, majtkowie w ciągu kilku godzin reperowali pękniętą powłokę sterowca, wisząc na linach na wysokości kilku tysięcy metrów nad wzburzonem morzem, smagani straszliwym huraganem. Wreszcie uszkodzenia zostały naprawione i sterowiec szczęśliwie wylądował w Lakehurst, koło Nowego-Yorku.

Naogół ten lot Zeppelina nie można uważać za udany. Sterowiec zużył więcej czasu na przebycie trasy Berlin—Nowy Jork, niż zwykły okręt pasażerski. Niezrażony tem niepowodzeniem dr. Eckener organizuje nową wyprawą Zeppelinem, tym razem w okolice podbiegunowe. Miejmy nadzieję, że wyprawa ta da poważniejsze rezultaty naukowe, aniżeli ostatnia nieudana podróż gen. Nobilego.

Niezwykły posąg.

Olbrzymi ten posąg, rzeźbiony z kamienia, wyobraża murzyńskiego „Boga Zmarłych" i jest otoczony szczególną czcią śród plemion murzyńskich, zamieszkałych w belgijskiem Kongo.

Przed posągiem tego „Boga Zmarłych" doniedawna jeszcze składano krwawe ofiary z ludzi i całe hekatomby zwierząt. Kres krwawym tym obrzędom położyło dopiero zajęcie Kongo przez Europejczyków.



DOBRZE ZNANE — A CIEKAWE...

„Kochający kamień”.

POETYCKA NAZWA DLA PROZAICZNEGO ZJAWISKA. — ELEKTROMAGNESY — OLBRZYMY. — CZARODZIEJSKA SKRZYNKA. — FIZYKA NA USŁUGACH DYPLOMACJI.

„Kochający kamień“... Tak poetyczną nazwą ochrzczono w Chinach.. naturalny magnes. „Kochający kamień (tszu - szi) — mówią Chińczycy — przyciąga żelazo, jak czuła matka przyciąga ku sobie dzieci“. Godnem uwagi jest, że u Francuzów, mieszkających na przeciwległych krańcach Starego Świata, spotykamy podobną nazwę magnesu: francuski wyraz *aimant* oznacza jednakowo „magnes“ i „kochający“.

Potęga tego „kochania“ u magnesów naturalnych jest bardzo niewielka, — i dlatego grecka nazwa magnesu „kamień Herkulesa“ brzmi trochę przesadnie. Jeśli mieszkańcy starożytnej Hellady byli zdumieni nawet niewielką siłą naturalnego magnesu, cóżby powiedzieli oni, ujrzawszy we współczesnej fabryce potężne magnesy, podnoszące bryły żelaza wagi kilku tonn! Wprawdzie to nie są magnesy naturalne, lecz tak zwane „elektromagnesy“, czyli słupki żelazne, namagnesowane zapomocą prądu elektrycznego. Ale działa tu ta sama siła natury, — magnetyzm, — która się objawia w naturalnym magnesie.

Nie należy sądzić, że magnes działa tylko na żelazo. Istnieje cały szereg ciał, które również podlegają działaniu silnego magnesu, choć nie w tym stopniu, jak żelazo. Niektóre metale, jak nikiel, platyna, złoto, srebro, aluminjum też są przyciągane przez magnes, aczkolwiek w słabym stopniu. Są to t. zwane „ciała parmagnetyczne“. Jeszcze bardziej dziwne wydają się nam własności t. zw. „diamagnetycznych ciał“, naprz. cynku, ołowiu, siarki, wosku: wszystkie te ciała są odpychane przez silny magnes! Kulka cynkowa, zbliżona do bieguna silnego elektromagnesu, odchyla się wyraźnie na bok, albowiem podlega działaniu siły odpychającej.

Płyny i gazy również podlegają działaniu odpychającej lub przyciągającej siły magnetycznej, — coprawda w bardzo nieznacznym stopniu: powinniśmy użyć bardzo silnego elektromagnesu, aby wpływ jego na podobne ciała został ujawniony. Czysty tlen, naprz., jest ciałem „parmagnetycznem“, czyli jest przyciągany przez magnes: jeżeli, naprz., napełnimy tlenem bańkę mydlaną i umieścimy ją między biegunami silnego elektromagnesu, to bańka wydłuży się w kierunku obydwóch biegunów, rozciągana przez niewidzialne siły magnetyczne. Płomień świecy, umieszczonej między końcami silnego magnesu zupełnie zmienia swój kształt, zdradzając wielką czułość na działanie sił magnetycznych.

Elektromagnesy olbrzymy.

Człowiek wykorzystuje obecnie potężne elektromagnesy przy podnoszeniu i przenoszeniu ciężarów. We współczesnych zakładach metalurgicznych możemy widzieć „żórawie“ elektromagnetyczne, przenoszące olbrzymie ciężary. Takie „żórawie“ oddają teraz nieocenione wprost usługi. Masywne bryły żelazne i części maszyn, ważące niekiedy po kilka tonn, są przenoszone przez magnetyczne „żórawie“ bez pomocy łańcuchów. W podobny sposób „żórawie“ przenoszą z miejsca na miejsce, bez skrzyń lub innego opakowania, — blachę żelazną, gwoździe, druty, żelazne odpadki, — jednem słowem materjały, których przenoszenie w inny sposób jest trudne i kłopotliwe.

Średnica dużych elektromagnesów, używanych w zakładach przemysłowych, sięga $1^1/_2$ metra. Taki magnes podnosi za każdym razem ciężar 16 tonn (1000 pudów)! W ciągu doby jeden elektromagnes przenosi z miejsca na miejsce do 40.000 pudów!

U niejednego czytelnika wzbudzi się teraz napewno myśl: przecież zapomocą elektromagnesów możnaby bardzo wygodnie przenosić świeżo odlane rozpalone bryły żelaza lub płyty, nie narażając robotników na szkodliwe działanie wysokiej temperatury i par metali! Niestety, jest to niemożliwe z tej prostej przyczyny, że *rozpalone żelazo nie podlega działaniu sił magnetycznych.* Magnes rozpalony na czerwono traci swe własności magnetyczne. Jeżeli czytelnikowi nie szkoda taniego magnesu, niech go rzuci do pieca na rozżarzone węgle. Po kilku minutach wyciągnięty z pieca magnes okaże się zwykłą stalą.

Czarodziejska skrzynia.

Rozmaici sztukmistrze wykorzystują często siłę elektromagnetyczną. Łatwe jest do przewidzenia, iż zapomocą tej siły potężnej a niewidzialnej mogą dokonywać najbardziej efektownych tricków. I. Daru, autor znanego dzieła „Elektryczność w praktycznem zastosowaniu“, opowiada o pewnym francuskim sztukmistrzu i o przedstawieniu, urządzonem przezeń dla Arabów w Algierze. Na półdzikich i naiwnych Arabach sztuka wywarła wrażenie wprost piorunujące.

„Na scenie, — opowiada sztukmistrz, — znajdowała się niewielka okuta żelazem skrzynka, zaopatrzona w mocną rączkę. Zaproponowałem widzom, by na scenę wszedł najsilniejszy człowiek z obecnych.

Na moje wezwanie z tłumu wystąpił Arab średniego wzrostu, ale nader mocno zbudowany, — prawdziwy typ arabskiego Herkulesa. Zbliżył się do mnie z pewną siebie, dumną miną i spojrzał na skrzynkę z pogardliwym uśmiechem.

— Czy pan jest bardzo silny? — zapytałem, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów.

— Tak, — odrzekł Arab niedbale.

— Czy pan jest pewny, że i na scenie pan pozostanie silny?

— Najzupełniej pewny!

— Pan się myli. Jestem w stanie w mgnieniu oka pozbawić pana całej siły i uczynić pana słabym jak dwuletnie dziecko!

Arab uśmiechnął się pogardliwie i nic nie odrzekł.

— Niech pan podejdzie bliżej, — powiedziałem. — Widzi pan tę oto skrzynkę? Oto biorę ją i podnoszę jedną ręką bez najmniejszego wysiłku. Teraz stawiam ją na miejsce. Niech pan sprobuje ją podnieść!

Arab się nachylił, podniósł skrzynkę i zapytał wyniośle:

— Tylko to? Nic więcej?

— Niech pan zaczeka chwilę, — odrzekłem.

Potem przybrawszy uroczystą minę, zrobiłem rozkazujący gest i rzekłem:

— Teraz jesteś pan bardziej słaby niż kobieta. Niech spróbuje podnieść skrzynkę!

Siłacz, wcale nie przestraszony mojemi czarodziejstwami, nachylił się znowu i ujął rączkę skrzyni. Ale tym razem skrzynia stawia opór i mimo rozpaczliwych wysiłków Araba pozostaje nieruchoma, jakgdyby przykuta do desek estrady. Arab robi takie wysiłki, których by wystarczyło na podniesienie ogromnego ciężaru, — ale wszysto na nic!

Wreszcie zmęczony, zawstydzony, Arab zatrzymuje się aby nabrać tchu. Teraz już zaczyna wierzyć w czary i zastanawia się, czy nie lepiej będzie zrezygnować z dalszych prób i uciec z estrady. Ale jest to równoznaczne z uznaniem siebie za pokonanego, z wyznaniem własnej słabości, a on przecież zawsze słynął jako pierwszy siłacz swego plemienia. Teraz stanie się pośmiewiskiem dla wszystkich! Myśl o tem doprowadza go do wściekłości: zbiera siły i zachęcany spojrzeniami i słowami przyjaciół postanawia dowieść, że białemu czarodziejowi nie uda się tak łatwo pokonać syna pustyni.

Arab znów się nachylił: mocne jego ręce ujęły rączkę skrzyni, nogi wyprężyły się jak dwie odlane z bronzu kolumny. Zdawało się, że skrzynia nie wytrzyma podobnej próby i rozleci się w kawałki. Ale tu stało się coś dziwnego! Pewny siebie siłacz opuścił nagle głowę; ręce jego zostają przykute do skrzyni i nie mogą się oderwać wskutek mocnych kurczów w muskułach; nogi drżą i uginają się, i wreszcie Arab wydawszy okrzyk przerażenia pada na kolana.

Cud polegał na tem, że na dany znak pomocnik mój w tym momencie przepuścił silny prąd elektryczny przez rączkę skrzyni; mocne wyładowanie elektryczne spowodo-

wało skurcze mięśni biednego Araba. Nie chciałem przedłużać jego męczarni, skinąłem na pomocnika i dopływ prądu został przerwany. Nieszczęśliwy siłacz zerwał się na równe nogi i podniósł ręce ku niebu. — Allah! Allah!—zawołał, drżąc ze strachu. Potem zasłonił się burnusem, chcąc ukryć zmieszanie, i rzucił się jak szalony ku drzwiom sali, roztrącając widzów".

Cała tajemnica tego „cudu" była nader prosta. Żelazne dno skrzyni umieszczone było na metalowej desce, przedstawiającej biegun dość mocnego elektromagnesu. Skrzynka jest bardzo lekka, lecz wystarczy przepuścić prąd przez uzwojenie elektromagnesu, aby skrzynkę nie zdołały podnieść zjednoczone wysiłki nawet trzech ludzi.

Pomysłowy wykonawca tricków nie dodał tylko, w jakim celu dokonywał on swych eksperymentów w obecności prostaczków Arabów. Otóż i ta „tajemnica" została wreszcie wyświetlona. Wobec ogólnego wrzenia śród niedawno uśmierzonyc plemion tubylczych władza wojskowa uznała za stosowne zademonstrować Arabom wyższość kultury europejskiej pod każdym względem. Między innemi zaproponowano dzielnemu sztukmistrzowi dowieść Arabom namacalnie, iż Europejczycy mają władzę nad tajemniczemi siłami przyrody, wobec których cała odwaga synów Sahary nie zda się na nic. Sztukmistrz wywiązał się znakomicie ze swego zadania, za co został nawet nagrodzony orderem. W ten to sposób poczciwa fizyka przyszła z pomocą dyplomacji.

* * *

Ciekawe zjawisko spostrzeżono pewnego razu podczas pracy w pewnej hucie. Oto dźwigar elektromagnetyczny przyciągnął do siebie łańcuch żelazny, którego koniec był przymocowany do podłogi. Siła magnesu była tak wielka, że łańcuch zachował swe pionowe położenie i niby naprzekór siły ciężkości starał się wznieść do góry. Cudaczna lina utrzymywała nawet na sobie ciężar wiszącego na niej robotnika. I tu mimowoli przypomina się legendarny grób Mahometa.

Prawowierni muzułmanie są przekonani że szczątki proroka spoczywają w powietrzu, wisząc bez podpory w mauzoleum między podłogą a sufitem.

Czy to możliwie?

Niektórzy sądzą, że fakt ten byłby możliwy, jeśliby przypuścić, iż grób ten jest żelazny, a w suficie ukryto silny magnes, który równoważy siłę ciężkości. Słynny matematyk Euler w swym dziele: „Listy o różnych materjach fizycznych" mówi: „opowiadanie o grobie Mahometa, który pono utrzymuje się w powietrzu siłą magnetyczną, wydaje się możliwem, albowiem istnieją magnesy, mogące podnieść ciężar nawet stufuntowy". Euler pisał te słowa w roku 1774, kiedy potężne elektromagnesy współczesne były jeszcze nieznane.

Ale mimo to, przypuszczenie Eulera nie wydaje się prawdopodobnem. Gdyby nawet ten stan idealnej równowagi został na jeden moment osiągnięty, wystarczyłoby najsłabsze pchnięcie, najlżejszy ruch powietrza, by stan ten został zakłócony, a grób bądź opadł na podłogę, bądź przylgnął do sufitu. W praktyce podobna rzecz byłaby niemożliwa, tak jak naprzykład niemożliwem jest postawienie stożka prostego na jego wierzchołku, chociaż teoretycznie jest to zupełnie możliwe.

Cudowna moc magnesów i elektromagnesów zdawna już przykuwała uwagę licznych uczonych, którzy pracowali nad wykorzystaniem magnetyzmu dla celów praktycznych. O użyciu olbrzymich elektromagnesów w zakładach przemysłowych mówiliśmy wyżej. Niedawno powstał projekt zbudowania kolei elektromagnetycznej, przyczem wagony, poruszane siłą magnesów, miały się posuwać wewnątrz olbrzymiej metalowej rury, z której uprzednio wypompowano powietrze by uniknąć tarcia. Wagony „kolei elektromagnetycznej" mogłyby się posuwać z nieograniczoną wprost szybkością, dochodzącą (teoretycznie) do dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę! W warunkach teraźniejszych jednak tak olbrzymia szybkość byłaby przedewszystkiem niebezpieczna, wobec czego wynalazca tego projektu obiecuje nadać wagonom tej kolei „skromną" szybkość — 750 klm. na godzinę. Ta umiarkowana szybkość pozwoli nam jednak dojechać z Warszawy do Lwowa w ciągu 30 minut, a w ciągu 11-12 godzin — przemknąć wzdłuż całego Starego Świata od Francji do Oceanu Spokojnego!

Obserwator.

GUSTAW BOL. BAUMFELD.

CZY RADJO JEST WROGIEM CZYTELNICTWA?

W jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Radjowego", — pisma, które niejednokrotnie polecaliśmy uwadze naszych czytelników,—znajdujemy ciekawe rozważania p. G. B. Baumfelda, dotyczące tak aktualnego obecnie tematu.

Utarło się już prawie zdanie, za którem przemawia wiele pozorów, że takie rozrywki, jak kinematograf a w szczególności radjo, przeszkadzają rozwojowi czytelnictwa wśród mas szerokich, wytrącają im niejako z rąk książkę, przez to, że zabierają wszelki czas wolny, nie zostawiając go już na czytanie. Właśnie radjo — według tego zdecydowanie pesymistycznego poglądu — wprost zastępuje książkę, teatr, koncert, odczyt, i siłą rzeczy, w konsekwencji, wycofuje je z programu rozrywek przeciętnego obywatela, wypiera nieubłaganie. Ale, jeżeli teatr i koncert mają swoją siłę atrakcyjną specjalną w tych cechach, które odróżniają je od produkcji radjowej, to słowo drukowane nie posiada jakoby dość atrakcji i łatwiej może być zastąpione przez odczyty, wykłady, recytacje i słuchowiska specjalne — w radjo. Krótko mówiąc: Książka jest jakoby najbardziej zagrożona i już nawet w dużym stopniu — pobita.

Nie chcemy być pesymistami, gdyż wogóle nie jest pesymizm najlepszą metodą badania a tembardziej leczenia zjawisk społecznych ujemnej natury,— ale nawet optymista nie może nie przyznać częściowo choćby słuszności spostrzeżeniom i poglądom na losy książki w epoce dzisiejszej radja.

Wogóle, kiedy chodzi o sytuację obecną książki, to możnaby śmiało zastosować sceptyczne przysłowie: „Siła złego na jednego!" I to do tego stopnia, że mówićby można już nie o „pobiciu" książki, ale o tem, czy radjo książkę naprawdę — dobija. Wszystko sprzysięgło się dzisiaj na dolę książki: kinematograf, radjo, dancing, sport (nawet sport!), a przedewszystkiem — drożyzna papieru, druku, podatków obrotowych i... księgarzy—wydawców. Na książkę dziś albo niema pieniędzy albo — czasu, wreszcie — jednego i drugiego.

Jeżeli chodzi o wpływ radja na czytelnictwo, to — nie miejmy wielkiej pretensji do tego pożytecznego wynalazku, gdyż w tym względzie można słusznie zastosować drugie przysłowie, jeszcze bardziej sceptyczne: „Na pochyłe drzewo kozy skaczą"... Takiem już — bardzo pochyłem drzewem jest dzisiaj czytelnictwo, niestety, w Polsce.

Ale — czy naprawdę specjalnie radjo jest wrogiem książki?

Odpowiedź nasza brzmi: *nie*.

Cóż bowiem stwierdzają „pesymiści radjowi?" Oto, że pewna znaczna ilość ludzi, którzy dotychczas czytali książki w wolnych od pracy (czy próżnowania...) chwilach, obecnie, słuchając w tych właśnie chwilach produkcyj radjowych, nie mają już czasu na przeczytanie książki. Z czego ostatecznie wynika, że: porzucili książkę dla radja ci „czytelnicy", którzy — czytali tylko dla zabicia czasu!

Co do tych bowiem osób, które czytały z pobudki głębszej, — z zainteresowania intelektualnego, z potrzeby pracy naukowej lub literackiej, z konieczności i zamiłowania, — nie zachodzi najmniejsza chyba wątpliwość, że nawet — wynalazek maszyny do czytania lub myślenia nie powstrzymałby ich od drogiej im (i niestety — dla nich) książki. Tych czytelników (nie opatrzonych cudzysłowem) trzeba raczej nakłaniać do posłuchania czasami „radja“, gdyż oni właśnie na nie — nie mają czasu.

Inna rzecz, której kategorji czytelników w Polsce — było więcej do chwili wprowadzenia radja. Skoro polemizujemy z pesymistami, gotowiśmy — z lojalności dla nich — przyjąć, że przeważała znacznie ilość czytelników — z braku innej rozrywki.

I właśnie — ustaliwszy jako fakt, że takim właśnie ludziom radjo wytrąciło lub wytrącić może z rąk książkę, dochodzimy do owej zdecydowanie przeczącej odpowiedzi na zapytanie: Czy radjo jest wrogiem czytelnictwa?

Wpływ bowiem jakiejś nowości na obyczaje i instytucje, już zdawna istniejące, oceniać trzeba z pewnej odleglejszej perespektywy, *sub specie*, wprawdzie nie wieczności, ale — dalszej przyszłości, w której wpływy i skutki nowości ostatecznie krystalizują się. To przyrównanie do krystalizacji jest tem więcej uzasadnione, że stosunek wzajemny dwóch takich czynników kulturalno-społecznych (jak w tym wypadku — czytelnictwa i radjo-amatorstwa) ustala się z czasem na podobieństwo krystalizującej się ostatecznie, a zrazu zmąconej, mieszaniny chemicznej.

A więc — rozumujemy dalej: Jeżeli ci radjoamatorzy porzucili książkę, którzy czytali ją tylko w wolnych chwilach, to byli to radjoamatorzy, nie dość rozmiłowani w książce, czyli — nie dość pogłębieni kulturalnie i intelektualnie, popularniej mówiąc: o mało wysokim poziomie.

U tych to — byłych czytelników a dzisiejszych radjoamatorów, radjo może z czasem po nieść poziom kulturalny i w ten sposób — przywrócić książce czytelników już nie — „dla zabicia czasu“, ale — czytelników z interesu umysłowego i zamiłowania. Radjo bowiem z natury swojej dąży do rozszerzenia i pogłębienia zainteresowań warstw jak najszerszych — przez wzorowe odtwarzanie dzieł literatury i muzyki, przez odczyty z najróżniejszych dziedzin naukowych i literackich. Radjosłuchacz ani się spostrzeże, jak pewnego dnia zatęskni znowu za porzuconą książką, żeby uzupełnić swoją wiedzę w dziedzinach, ktoremi radjofonja zainteresowała go na nowo lub — po raz pierwszy!

Takie są właśnie normalne dzisiaj drogi rozwoju kultury.

Oczywiście, wiele zależeć będzie od odpowiednio przemyślanych a jeszcze więcej — od odpowiednio wykonanych programów radjowych; w Polsce dzisiaj rzecz to pierwszorzędnej wagi: program radjowy, pogłębiający kulturę warstw najszerszych. Wiele się też u nas dzisiaj robi na tem polu dobrego.

A także — gdy chodzi o czytelników — czy można zaprzeczyć temu słusznemu optymizmowi, że radjofonja z czasem — właśnie przez swoją pracę i propagandę cywilizacyjną i kulturalną — „wyradjuje“ (sit venia verbo) zupełnie nowych entuzjastów wiedzy i książki tam, gdzie dotychczas — wogóle nie czytano?... „Fala“ dociera wszędzie i przez to toruje, żłobi drogi dla innych czynników kultury.

Jedną z akcyj i przemian „chemicznych“, które dokonywują się z postępem kultury, jest także zrównoważenie się wartościowych czynników dawniejszych z nowemi—w tym kierunku, że człowiek kulturalny znajduje — czas na korzystanie z obu. Ułoży swój plan zajęć i rozrywek tak, by znalazł czas na konieczną lekturę i na również cenne dla niego—audycje radjowe. Przypuścić można, że z czasem i programy tych audycyj przystosują się do takiego stanu rzeczy i będą się więcej specjalizowały i różniczkowały.

BALLILA.

W cześć patrjoty włoskiego, Ballili, który oswobodził Genuę z pod jarzma Austrjaków nazwany został jego imieniem zorganizowany przez Mussoliniego związek młodocianych faszystów, liczący dwa miljony członków. Jest to armja dzieci, które złożyły Mussoliniemu przysięgę na wierność. Odbywają one regularne ćwiczenia nie tylko z bronią w ręku, ale nawet z armatami i urządzają od czasu do czasu własne manewry na szeroką skalę. Są one również ćwiczone, aby mogły w razie potrzeby okazywać pomoc na lotniskach.

Młodociani faszyści noszą czarne fartuszki, czarne spodenki aksamitne, czarną koszulę z białemi taśmami i białemi sznurkami. Czapka i rękawiczki również koloru czarnego tworzą strój odświętny.

Dwoje dzieci Mussoliniego są również członkami Ballili.

To militarne wyszkolenie młodzieży trwa do 18-go roku życia. Z osiągnięciem tego wieku przechodzi młodzież do milicji faszystowskiej, gdzie w czasie ćwiczeń otrzymuje pensję rządową. Co się tyczy służby wojskowej, to członkowie Ballili pełnią ją krócej od innych żołnierzy. Zaznaczyć należy, że od czasu powstania Ballili, zlikwidowane zotały wszystkie organizacje skautów i harcerzy. Natomiast Ballila i jej oddziały nie mają żadnej styczności z jakiemikolwiek innemi związkami i uznają jedyną powagę — Mussoliniego.

Są również żeńskie odziały Ballili, przyczem członkinie ich noszą czarne bluzki i takież czapeczki. Oddziały młodocianych faszystów schodzą się na zbiórki pod sztandarami starożytnych Rzymian.

Gdyby nie przyświecający Ballili cel polityczny, organizacja ta przypominałaby nasze związki harcerskie i skautowskie. W obecnych warunkach jednak potężna ta organizacja służy jedynie celom wychowania młodzieży w duchu szowinistycznym, i dla tego nie cieszy się zbytnią sympatją ani zagranicą, ani nawet we własnym kraju.

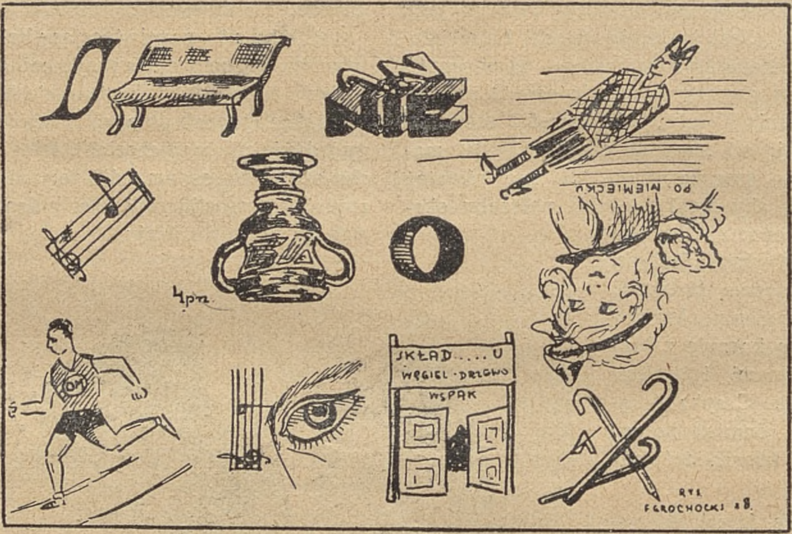


Młodociani faszyści.



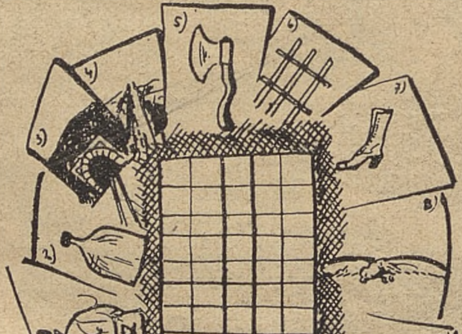
Rebus.

 Uł. Fr. GROCHOCKI (Łomża) [3]



Zadanie obrazkowe.

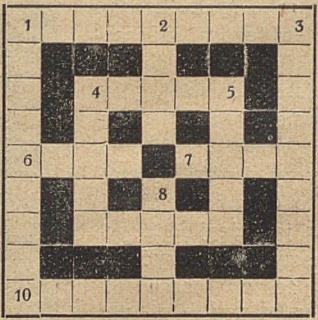
Nad. Fr. GROCHOCKI (Łomża) [!]



Na miejsce kratek wstawić znaczenia zamieszczonych obrazków, a wiersz środkowy da rozwiązanie.

Krzyżówka.

Uł. „Dewir" (Bliżyn).



POZIOMO: 1. Rodzaj galerji, 4. Koń inaczej, 6. Jest w ziemi, 7. „Wszelakim" w obcym języku, 9. Rodzaj arbuza, 10. Skojarzenie myśli.

PIONOWO: 1. Próg rzeczny, 2. Szereg tonów, 3. Inaczej studentka, 4. Miasto w Polsce, 5. Jest na dachu, 8. Rodzaj tłuszczu. [2]

Logogryf.

Nad. M. TYRAKOWSKI (Skoków)

			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
■			+			■
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			
■			+			■
			+			
			+			
			+			
			+			
			+			

1. Napisał Długosz
2. Imię męskie
3. Drogi kamień.
4. Imię męskie.
5. Rzeka, nad którą odbyła się sławna bitwa
6. Wieś murzyńska.
7. Nazwisko włoskiego badacza katakumb.
8. Władza Litwy.
9. Miasto w Rosji.
10. Państwo w Europie.
11. Jeden z pierwszych.
12. Miasto na Śląsku sławne z bitwy z tatar.
13. Prowincja w Azji Mniejszej.
14, Połtawa.
15. Wygnanie.
16. Ubliżenie.
17, Ochrzczony żyd.
18. Drapieżne zwierzę.
19. Miasto nad Dniestrem.
20. Etykieta.
21. Miasto na Podolu.
22. Piernik.

Należy ułożyć 22 wyrazy o powyżej podanem znaczeniu, a wtedy rząd środkowy utworzy przysłowie łacińskie. [2].

Zadanie konikowe.

Nad. N. CYNAMON (Płock)

T	S	I	D	Z	O
W	U	R	I	R	A
A	S	Z	C	M	Ó
N	E	N	A	I	O
A	J	Z	D	W	A
J	Y	N	R	D	Z

Ruchem konika obejść szachownicę odczytać imię i nazwisko pisarki oraz tytuł je dzieła. [3]

Krzyż magiczny.

Nad. SYLW. CZIŃSKI

			A	A	A			
			A	A	A			
			A	A	A			
A	A	A	A	A	D	E	E	G
G	K	K	K	K	K	L	L	M
M	N	R	R	S	S	T	T	T
			T	T	T			
			T	T	T			
			T	Y	Y			

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły 3 wyrazy, czytane jednakowo w kierunkach poziomym i pionowym o niżej podanych znaczeniach: 1) Imię żeńskie. 2) Choroba. 3) Sopel geologiczny. [2]

Łamigłówka.

Nad. H. PONIESKI (Warszawa)

1. . . . . . x . .
2. . . . . . x .
3. x . . . .
4. . x . . .
5. x . . . .
6. . x . . .
7. . . . . . . x .
8. . . . . . x .

Na miejsce kropek i krzyżyków napisać nazwy miejscowości pod któremi zostały stoczone bitwy napoleońskie. Wtedy litery oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie. [2].

Kwadrat magiczny.

Ułożył H. PONICZKI (Warszawa) [2].

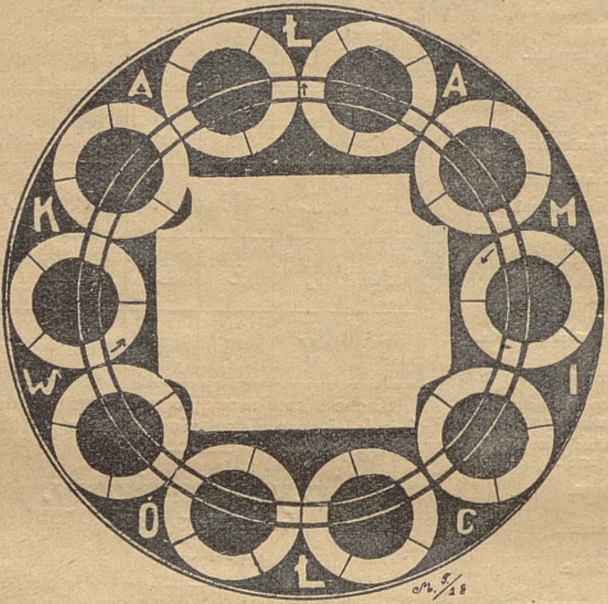
L				S
		P		
S				S

Znaczenie wyrazów:

1. Kwiat egzotyczny
2. Drogie kamienie
3. Zwierzę afrykańskie
4. Miasto koło Gdańska
5. Miasto w Turcji

Logogryf wirowy.

Nad. A. TYRAKOWSKI (Skoków) [4]



ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Zalążek. 2) Pięknie przybrany. 3) Rozpoczęty. 4) Imię żeńskie. 5) Reparacja. 6) Miejsce dla widzów. 7) Służy do pisania. 8) Rodzaj obuwia. 9) Odmienny.

OBJAŚNIENIE: W poszczególne koła należy wpisać wyrazy 7 literowe, zaczynając od miejsca wskazanego w kole pierwszem strzałką, w stronę ruchu wskazówek zegara. Wyjątek stanowią koła 3 i 8, w których należy zacząć pisać od strzałki. Litery w wielkiem środkowem kole utworzą to, co uzyskać trudno.

Kryptogram.

Nad. N. CYNAMON (Płock)

- - u - - o | - i | - o - e | - - a | - - ie | - a | - a - - o - - ie |
- o - - a - e - | - ę - - ę | - - a - - ó - | - - o - ie - i - - ą |
- - - e - e | - - ą | - a - i - - | - | - a - u - o - e | - c - - ie |
- - ia - - ę | o - - i - - ą |
- - o - | - i | - a - | - ie - o | - y | - - o - i - - | i | - o - - e |
- - u - - o | - i | - o - e | .

Na miejsca kresek wstawić spółgłoski i odczytać urywek z poematu poety polskiego. Co to za poemat? Jaki to poeta? (Kreski pionowe oznaczają końce wyrazów). [2]

Mozaika.



Znaczenie wyrazów:
1. Rzadka tkanina kratkowana. 2. Pokrywa inaczej. 3. Wieś murzyńska. 4. Żandarm turecki. 5. Łódź mors a. 6. Stolica europejska. 7. Świątynia w Mekce. 8. Naczynia szklane.

Litery tak poprzestawiać, aby powstało 8 wyrazów, o wspólnej początkowej literze w środku. Pozostałe litery umieścić w okręgu i odczytać rozwiązanie.

Szarady.

Ułożył S. BELLER (Dolina) [3]

Pierwsza—druga, w górskich strefach
Tam gdzie nasze łany cudne
Druga—czwarta, w miejskich sklepach.
Trzecia,- miasto, małe, brudne
Lecz historja je wsławiła.
Całość, bronią dawniej było—
Dziś numerów zdobi ściany,
Sprzęt zbyteczny, zapomniany

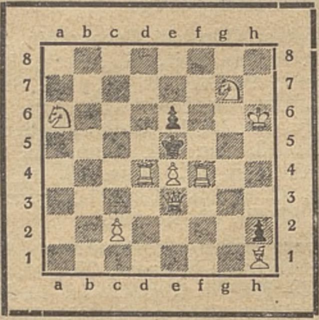
* *
*

Pierwsza — druga — trzecia imię
Szukaj w kalendarzu,
Pierwsza — czwarta, rodzaj jazdy
Zgadnij luminiarzu.
Piąta—wreszcie chociaż krótka
Mówi za się wiele
Zna go przecież Polska cała
Zważcie przyjaciele.
Całość łatwo odgadniecie
Tylko cierpliwości,
Jest to miasto nadto słynne,
Znane z swej przeszłość.

SZACHY

Zadanie № 25.

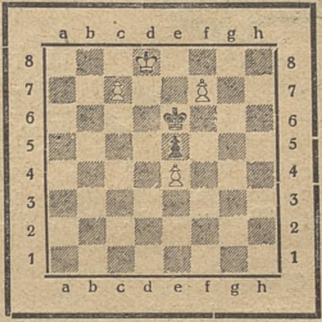
G. N. Cheney



Mat w 2 posunięciach.

Zadanie № 26.

C. K. Cook



Mat w 3 posunięciach.

Turniej w Kissingen. Indyjska.

A. Nimcowicz	F. J. Marshall
1. d2—d4	Sg8—f6
2. c2—c4	b7—b6
3. Sb1—c3	Gc8—b7
4. Gc1 —g5	e7—e6
5. Hd1—c2	h7—h6
6. Gg5—h4	Gf8—e7
7. e2—e4	0—0
8. e4—e5	Sf6—d5
9. Gh4—g3	Sd5—b4
10. Hc2—b3	d7—d5
11. e5×d6ep	Ge7×d6
12. 0-0-0	Sb8—c6!
13. Gg3×d6	Hd8×d6
14. a2—a3	Sc6×d4!!
15. Wd1×d4	—

Oczywiście, że nie wolno było odrazu bić skoczka b4, gdyż po H×b4 nastąpi 15... c5 16. Ha4 Gc6 17. Ha6, Hf4† 18. Kb1 H×f2 i czarny wygrywa, gdyż biały hetman jest zapatowany.

15. —	Hd6×d4
16. a3×b4	Hd4×f2
17. Hb3—d1	Wf8—d8
18. Hd1—e2	Hf2—f4†
19. Kc1—c2	a7—a5!

Otwarcie linji *a* w stosownej chwili daje czarnym decydującą przewagę.

20. b4×a5	Wa8×a5
21. Sg1—f3	Wa5—a1
22. Kc2—b3	b6—b5!!

Świetnie zagrane; po 23. c×b5 nastąpi Gd5† 24. S×d5, Ha4†, 25 Kc3, Wc1† i wygrywa; jeżeli zaś 23. S×b5 to Ge4! z groźbą c6 i Wb8!

23. He2—e5	b5×c4†
24. Kb3—b4	Hf4—c1
25. Sc3—b5	c7—c5†

Białe poddały się.

Partja powyższa została wyróżniona specjalną nagrodą za piękną grę.

Rozwiązania zadań szachowych z № 6-go.

№ 17. *E. G. Schuler.* 1. hd1-d5! Ciekawa; idea białe i czarne przesłaniają jedną swą figurę. Złudne rozwiązania: 1Hd1—d², Wf2—f4!, oraz 1Hd1—g1, Ge6—g4!

№ 18. *K. A. L. Kubbel.* 1h4—H5! (teraz białe grożą 2Sh6 : f7 i 3x). Czarne się bronią: 1... Hd1—a1 2e2—e4! Jeżeli 1... Hd1 : d2 to 2Sb3 : d2... Niezwykła analogiczna gra H—a1 i H—g1 jest ideą tej doskonałej kompozycji.

Rozwiązania z Nr. 7.



Mozaika.

1. Safi, 2, Safo, 3. Sals. 4 Sala, 5. Sola, 6. Sold, 7. Sole, 8. Solo, 9. Tren, 10, Trel, 11. Tron, 12. Trop, 13. Tynf, 14. Tynk, 15. Tyru. 16. Tyrs, 17. Werk, 18. Wery, 19. West, 20. Wesz, 21. Wada, 22. Wadi, 23. Wali, 24. Walc, 25. Bosz, 26. Boso, 27. Bora, 28. Borg, 29. Bard, 30. Bary, 31. Bank, 32. Bant.

Kryptogram.

Wiara — to gwiazda przewodn a,
Co świeci w mrokach żywota;
Ona wśród troski codziennej
W sercu jak jasność śni złota
I choćbyś codzie w pijał
Goryczy i żółci czarę, —
Nic cię nie złamie, n e zegnie,
Dopóki w piers ach masz — wiarę!

Wiersz ARTURA OPPMANA p. t. „Wiara".

Zadanie literackie.

1. Moja Pieśń, 2. Arab, 3. Po drodze, 4. Myszeida, 5. Krzyżacy, 6. Mały, 7. Bibljoman, 8. Cham, 9. Znamię, 10. Głód, 11. Duch czasu, 12. Imagina, 13. Marzenie, 14. Usa, 15. Moje listy.

Rozwiązanie: MÓJ PRZYJACIEL.

Zadanie koni:owe.

Co dzień postrzegam, jak młódz cierpi na tem,
że niema szkół, uczących żyć z ludźmi i światem.

Krzyżówka I.

1. Kur, 3. Baron, 5. Tur, 7. Koral, 9. Lak, 11. Bić, 2 Mur, 4. Karol, 6. Buk. 8. Robak, 10. Nil, 12. Raz.

Krzyżówka II „Zygzak".

Czytaj i rozpowszechniaj „Mego Przyjaciela".

POZIOMO: 1. Ciecz, 3. Czyli, 5. Troskliwy, 6. Ajzon, 7 Kraj, 10. Interpono, 11. Amor, 13. Piastunka. 14. Ater, 18. Julja, 19. Lepus, 20. Okryte 21. Zwany, 23. Pismo, 25. Centrum, 26 Loch, 28. Morze, 31. Zagon, 32. Przeszło, 33. Oddal, 34. Dynaburg, 37. Wpływ, 38. Mars, 40. Jutrzenka, 42. Zbóje, 43 Nagli.

PIONOWO: 1. Cynik, 2. Zacny, 3. Cecha, 4. Intendent, 5. Topór, 8. Jednakowy, 9. Lenkotea, 10. Jeśli, 12. Rejestr, 13. Potok, 15. Zegar, 16. Kawa. 17. Baje, 22. Ambono! 23. Piecz. 24. Warunkowo, 25. Czuje, 27. Hipolitoz, 28. Mamka, 29. Godne. 30. Ranc 35. Podwórze, 36. Jazo, 39. Smycz, 40. Ataki 41. Kran.

Wachlarz krzy:owy.

1. Łukasz Górnicki. Dworzanin, 2. Pasek, 3. Ze, 4. Aorta, 5. it, 6. Nurek, 7. Rzepa, 8. Nemesz, 9. Co, 10. Ao, 11. Szept, 12. Ikar, 13. List, 14. Bozia, 15. Talje, 16. Aa, 17. Mosty, 18. Zo, 19. Greta, 20, Ser, 21. Ja. 22. S. O., 23. Gar, 24. Okno, 25. Aza, 26, Niobe, 27. Njm, 28. Mina, 29. Ira, 30. Era, 31. Dwa, 32. Rea, 33. Koc, 34 Kacerz, 35. As, 36. Aar, 37. Et, 38. Kaczor.

Wyrazy czytane dośrodkowo: 1. Lupiestwo, 4. Akerman, 5. Imasz, 27. Net, 28. Moc, 32. Re, 33. Ka. 39. Kasztelanic, 40. Sokrates, 41. Gazeciar e, 42. Ra, 43. Oni, 44. Kit, 45. D. H.. 46. Ostologja, 47. Zanzibar, 48. Naruszewicz, 49. Nikaragua, 50. Epoka, 51. Analyse, 52. Za, 53. P. J., 54. Ot. 55. Ir, 56. Ea, 57. An. 58. Ore, 59 Ara, 60. Ar, 61. As, 62. Ida, 63. Bar.

Krzyżówka magiczna.

1. Kultura—Okowita, 2. Udo—Ro—E—On —Bor, 3. Loty—Balon—Mirt, 4. T—Y—Car—Mak—S—Y, 5. Ur—C—Katar—M—Is, 6. Robak—Kir—Karat, 7. A—Arak—U—Olga —A, 8. El—Tiunika—Ta, 9. O—Omar—I—Arka—K, 10. Konar—Oka—Aojda, 11. On—K—Klara—C—Ar, 12. W—M—Mag—Koc—B —A, 13. Ibis—Rataj—Brak, 14. Tor—Ia—A—Da—Atu, 15. Artysta—Karakuł.

Do w z stkich przyjaciół naszego kącika Rozrywek Umysłowych.

W związku z numerem świątecznym, który ukaże się w grudniu, ogłaszamy konkurs za najlepsze prace działu Rozrywek, które nadesłane nam będą do 25 b. m. Konkurs obejmuje wszelkie prace w tym zakresie: rebusy, logogryfy rysunkowe, logogryfy zwykłe, wirówki, figliki, krzyżówki deseniowe i normalne, szarady, zadania i t.d. i t. d.

Najlepsze zadania nagrodzone zostaną trzema premjami książkowemi, wybranemi według życzenia zwycięzców konkursu z katalogu „Pomoc Szkolna": I-sza na sumę zł. 20, II — 15 zł., III — 10 zł.

Zadania winny być wykonane tuszem, możliwie na papierze nielinjowanym. Koperty opatrzyć należy dopiskiem: „Konkurs świąteczny".

Z PISM I KSIĄŻEK

Józef Ciembroniewicz. ANTEK SIKORA (jak to on w szkólce powszechnej Polskę budował). Str. 56. Nakł. „Naszej Księgarni". Warszawa 1928 r.

P. Józef Ciembroniewicz, na niwie pedagogicznej zaszczytnie znany pracownik i pisarz, profesor włocławskiego komunalnego seminarjum naucz., wydał przed kilku tygodniami niezwykle miłą i pożyteczną książkę, pod wyżej wskazanym tytułem. Kwestja wychowania naszej młodzieży w szkołach wszelkiego typu, a przedewszystkiem powszechnych, obchodzi bardzo żywo wszystkich, którym nieobce zagadnienia szkolne i przyszłość państwa. Naogół zdajemy sobie również sprawę z niewystarczalności dzisiaj idej, które do r. 1918 karmiły umysły i serca całych szeregów młodych pokoleń, hartowały ducha do wytrwania w walce o wolność i przygotowały wreszcie dzieło wskrzeszenia własnej państwowości. Szuka się przeto haseł, mających wartość wychowawczą odpowiednią do zmiennych warunków politycznego bytu narodu...

Autor w swej pięknej książce rozwija myśl rozbudowy i urządzenia własnego państwa przez zaprawianie dzieci w tego rodzaju pracy na terenie małej społeczności szkolnej.

Antek Sikora — to typ chłopca przedsiębiorczego, wrażliwego na wszystko co dobre, obdarzonego przytem wysoce rozwiniętym zmysłem społecznym. Wzorując się na gminie wiejskiej, przy umiejętnej pomocy nauczycielki i jej kierownictwie, organizuje samorząd szkolny. Odtąd sprawy higjeny, pomoc biednym uczniom, sklepik, zbieranie i suszenie ziół leczniczych, opieka nad grobami poległych na wojnie, wzajemna pomoc w nauce, kółko miłośników książek i t.d. i t.d. staje się polem popisu i pracy tych, którzy w przyszłości, korzystając z pełni praw obywatelskich, staną się budowniczymi Polski.

Książkę, pisaną barwnie, zajmująco, stylem potoczystym, czyta się, jak to mówią, jednym tchem. Winna obowiązkowo znaleźć się w bibljotece każdej szkoły i życzyćby należało, aby stała się przedmiotem lektury na lekcjach.

Kossowski Jerzy. ZIELONA KADRA. Nowela. Nakład Gebethnera i Wolfa. Warszawa.

Różnorodne przeżycia żołnierza z czasów wielkiej wojny zawarł autor w sześciu nowelach. Bunt duszy chłopskiej maltretowanej przez austrjackiego feldfebla i żywiołowa zemsta za zawiedzioną miłość, stanowi treść Zielonej Kadry, pułku dezerterów, oczekujących amnestji, a żywiących się tymczasem z napadów na dawnych towarzyszów broni.

Gdyby autor nie miał zbytnich predykcyj do kreślenia naturalistycznych zdarzeń, lub przynajmniej ich generalizowania, książkę czytałcby się z jeszcze większą przyjemnością — tem bardziej, że czuć i w języku zrozumienie żywej, czasem zawadjackiej duszy polskiego chłopa.

Książka daje poznać, że poza tęsknotą za domem, miał żołnierz nieugaszone ukochanie Ojczyzny, i pragnienie bezpośredniej służby dla niej.

Jaworzyn J. RAMPER — CZŁOWIEK ZWIERZĘ. W-wa b. r. Drukarnia bankowa.

Mechaniczne streszczenie — plan, obraz po obrazie bez związku organicznego między jednym a drugim. Treścią—losy lotnika polarnego, który po katastrofie samolotu w ciągu 15 lat pobytu w pustce polarnej zwierzęcieje, a po powrocie do cywilizacji, stawszy się człowiekiem, czuje się nieszczęśliwszym, niż gdy był zwierzęciem. Opowiedziane bez talentu, ze względu na niektóre sceny i wyrażenia nie nadaje się nawet dla młodzieży, którąby mogła zainteresować treść sensacyjna.

— Braki piśmiennictwa sportowego omawia na łamach „Stadjonu" R. Poplewski, prof. Uniwersytetu Warszawskiego. Przeglądając nasze piśmiennictwo lekkoatletyczne, stwierdził on całą masę grubych błędów, świadczących o zupełnej nieznajomości anatomji i mechaniki ruchów. Wolno trenerowi nie znać anatomji, ale nie wolno w pracy o lekkiej atletyce podawać „wyjaśnień", które niemi nie są, a świadczą tylko o ignorancji autora. Pisze się np., że dwutlenek węgla „odbiera żyłom i szkieletowi wapno", gdy przecież ściany żył w warunkach prawidłowych wcale związków wapna nie zawierają. Błędów podobnych znalazł autor bardzo wiele.

Ażeby im na przyszłość zapobiec, uważa on za wskazane: 1) wprowadzenie fachowej cenzury redakcyjnej, 2) za rowadzenie stałej rubryki naukowej do czasopism sportowych. Pozatem należałoby założyć „skrzynkę pocztową", zaspokajającą potrzeby naukowe czytelników.

WYDAWNICTWO

„POMOC SZKOLNA" H. Wajnera

Warszawa, Bielańska 5.

Ukazały się z druku następujące nowości:

Język niemiecki dla Polaka bez pomocy nauczyciela, ułożył *H. Adler*.

Przystępny, na zasadzie nowoczesnej metody opracowany, systematyczny kurs dla samouków. Prócz części teoretycznej, książka zawiera obszerne wypisy, rozmówki polsko-niemieckie, wzory listów oraz rozwiązania do wszystkich zadań i ćwiczeń. cena zł. 4.—

Repetytorjum z pedagogiki i dydaktyki

opracował J. Marjański p/g podręcznika prof. Ziemnowicza, Zarzeckiego, Foerstera i innych książek, zaleconych do przeczytania przez komisję egzaminacyjną. — Zawiera w ścisłej formie cały materjał, wchodzący w zakres wymagań egzaminacyjnych z pedagogiki i dydaktyki (stanowi 2-gi tom „Historji wychowania" tegoż wydawnictwa) cena zł. 2.70

Skróty Geografji Polski i Europy w zakresie szkoły średniej.

Zasadniczą cechą tych podręczników — ułatwienie uczniowi zapamiętanie faktów geograficznych, dzięki uporządkowaniu materjału w określony szemat klasyfikacyjny.

Na końcu znajduje się skorowidz alfabetyczny nazw i terminów geograficznych.

Podręczniki te dostosowane do programu Minist. W. R. i O.P.

cena geogr. Polski —.75
Europa —.—

Rej — Życie i twórczość

Monografja ta uprzystępnia czytelnikowi poznanie i zrozumienie dorobku literackiego Reja. Podaje chronologję jego utworów, omawia ich treść i znaczenie. cena 1 —

Chłopi — *Reymonta* (Praca analityczna).

Zwięzłe i jasne ujęcie najważniejszych zagadnień poruszanych w „Chłopach". Analiza utworu, charakterystyki ważniejszych postaci, przyroda i życie wsi polskiej, oraz krótkie ujęcie treści utworu. cena zł. 1.50

Noc Listopadowa — *Wyspiańskiego*

geneza, treść, rozbiór, opracowania tematów (Charakterystyki literackie № 61. cena —.80

Marja — *Malczewskiego*

geneza, treść (Charakterystyki literackie № 62) c. —.50

KALENDARZ UCZNIOWSKI
„MÓJ PRZYJACIEL"
ua rok **1928/29**
zawiera skróty przedmiotów wchodzących w zakres szkoły średniej.
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE!!!

HALLO MŁODZIEŻY!

NAUKA BEZ KOREPETYTORA

Wydawnictwo
„POMOC SZKOLNA" H. WAJNERA
Warszawa, Bielańska 5

poleca ułatwiające naukę szkolną z zakresu:

LITERATURY POLSKIEJ, ŁACINY, MATEMATKI, FIZYKI, CHEMJI, JĘZYKÓW OBCYCH, HISTORJI, GEOGRAFJI etc.

Kooperatywy uczniowskie korzystają z rabatu.

ALMANACHY
„MÓJ PRZYJACIEL"
tomy I, II, III, IV i V.

Materjał zawarty w każdym z almanachów „Mój Przyjaciel" przedstawia całą bibljotekę, gdzie czytelnik znajdzie całkowity obraz życia współczesnego we wszystkich jego przejawach, poczynając od powieści i nowel, opartych na aktualnem i egzotycznem tle, i kończąc na artykułach o najnowszych wynalazkach technicznych i odkryciach naukowych.

Almanachy „Mój Przyjaciel" są to okazałe tomy, zawierające po kilkaset stronic i nadające się do każdej bibljoteki rodzinnej oraz bibljotek szkolnych i powszechnych. W ozdobnej oprawie almanach stanowić może miły i zawsze chętnie widziany prezent świąteczny, zwłaszcza ze względu na zawarty w nim obfity materjał rozrywkowy, składający się z szarad, rebusów, łamigłówek, logogryfów i t. d., wraz z rozwiązaniami.

Tania cena almanachów czyni je dostępnemi dla wszystkich.

CENA: tom I. zł. 2.—; t. II-III w oprawie zwykłej zł. 6.—; w ozdobnej 7.50. tom IV i V w oprawie zwykłej zł. 4.—; w ozdobnej 5.—

W wyd. „Pomoc Szkolna" są do nabycia trwałe OPRAWY PŁÓCIENNE, przeznaczone do kompletowania roczników „Mojego Przyjaciela". Cena oprawy z ozdobnym napisem wynosi zł. 2.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL“:
Prenumerata roczna zł. 6.60, półroczna — 3.30, — kwartalna. 1.65, — miesięczna —.60
Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., 1/2 str.—80 zł., 1/4 str.—45 zł. 1/8—25 zł. na okładce cała str.—200 zł., 1/2 str.—110 zł., 1/4—60 zł., 1/8—35 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera

DODATKI BEZPŁATNE: katalog wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera i prospekt kalendarza „Mój Przyjaciel“.

Odbito w druk. GRAFIA. Warszawa.